WIDNOKR

TYGODNIK KULTURALNY

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

1 II Wid/1966



UKAZUJE SIĘ Z "NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr. 1 (223) Rok VI 9 1 1966 r.

Dylematy wydawnicze

Czy będziemy mieli więcej książek?

W XV Zjeździe Literatów Polskich, który odbył się w grudniu ubr. w Krakowie, uczestniczyło kilku wydawców literatury pięknej. Śledzili oni z zainteresowaniem dyskusję pisarzy o zadaniach i społe-cznej funkcji literatury, a także u-ważnie wsłuchiwali się w głosy do-tyczące ich, wydawców, działalności. Postulaty środowiska literackiego w tym zakresie nie były dla nich nowością, gdyż od kilku co naj-mniej lat w centrum uwagi zarówno pisarzy, jak i wydawców znajdują się te same sprawy, w pierwszym rzędzie niedostatek papieru i trudności w dziedzinie poligrafii, które powodują zbyt niskie nakłady ksią-żek, niezmiernie długi cykl produk-cyjny oraz niemożność szybkich

wznowień książek wyczerpanych. W niespełna dwa tygodnie po kra-kowskim "sejmie literatury" odbył się w Warszawie podobny "sejm wydawców", a mianowicie III Walny Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.
Prasa i Radio poświęciły obradom
wydawców znacznie mniej uwagi,
może nawet mniej niżby należało ze
względu na doniosłość spraw, nad którymi toczyły się debaty.

Przede wszystkim - literatura piekna

Jakkolwiek literatura piękna to tylko niespełna 1/5 ogólnej produkcji wydawniczej, to jednak na naradach wydawców stanowiła przedmiot ogólnej uwagi. Nie tylko ze względu na jej szeroki zasięg oraz moc od-działywania na serca i umysły czytelników, ale także dlatego, że właś-nie w tej dziedzinie wydawnictwa szczególnie boleśnie odczuwają wspomniane trudności papierowo-drukarskie. Jest oczywiste, że w polityce wydawniczej państwa priorytet musi przysługiwać przede wszystkim podręcznikom szkolnym i różnego rodzaju książkom użytkowym (poradniki, publikacje z dziedziny rolnictwa, medycyny społecznej itd.), a niekiedy także ważnym i aktual-nym książkom społeczno-politycz-Jeżeli do tego dodać, że także książki w językach obcych przezna-czone na eksport cieszą się uprzywi-lejowaniem (dewizy!), to nietrudno pojąć, iż niedobór papieru i mocy produkcyjnych naszych - w dużej części przestarzałych - drukarń od kilku lat uderza przede wszystkim w literature piękną dla dorosłych i dla dzieci. W tej sytuacji "za krót-kiej koldry" Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz wydawcy dokonują dramatycznych i karkołomnych wysiłków, aby przynajmniej niektórym dziełom literatury pięknej zapewnić jak największe nakłady i najszybszy cykl produkcyjny.

Umiarkowany optymizm

Zarówno obrady pisarzy, jak i wydawców cechował duży realizm w ocenie aktualnej sytuacji i pers-pektyw książki w Polsce. Nastrój Zjazdu Wydawców można by określić jako "umiarkowany optymizm". Optymizm ten jest uzasadniony tym, że w ciągu ostatnich dwu lat nastąpiła już pewna poprawa i zarysowały się realne perspektywy wyjścia z impasu, w jakim znalazi się ruch wydawniczy. Nastąpił niewielki, ale już odczuwalny wzrost ilości papieru (z 26,3 tys. ton w roku 1960, do 31,5 tys. ton w roku 1965 i 33,4 tys. ton w planie na rok 1966, co oznacza wzrost o 27 proc. w stosunku do ro-ku 1960), a co najważniejsze zgodnie z dyrektywami IV Zjazdu PZPR w pięcioletnim na lata 1966— 1970 zakłada się znaczne zwiększe-nie puli papieru, bo aż do 51,5 tys. ton. Ta ilość papieru, który w roku 1970 ma być przeznaczony na pro-dukcję książek, pozwoli w tym ostatnim roku pięciolatki wydać 7.200 tytułów w łącznym nakładzie 158 mi-lionów egzemplarzy, a więc o około 1000 książek i 58 milionów egzemplarzy więcej niż produkujemy obecnie. Przewiduje się wzrost nierów-nomierny w poszczególnych grupach bibliograficznych, a więc dla przy-kładu od 11,9 proc. w podręcznikach do 75 proc. w literaturze dla dzieci i młodzieży, aż do 112 proc. w literaturze pięknej dla dorosłych.

Wciąż za mało

Na Zjeździe Wydawców wskazy-wano, że nawet ten wzrost produkcji książek wydaje się niewystarczający, zapotrzebowanie bowiem na książki wzrasta gwałtownie z roku

na rok. Wpływa na to wiele czynników, w pierwszym rzędzie roz-wój szkolnictwa wszystkich stopni, w tym także oświaty dla dorosłych, którzy bardzo poważnie zwiększą ilość rzeczywistych i potencjalnych czytelników książek. Także szybki rozwój postępu technicznego będzie wymagał coraz większej ilości ksią-żek fachowych, zwłaszcza że specjalizacja w dziedzinie nauki i techniki z roku na rok zwiększa za-potrzebowanie na książki niezbęd-ne dla — często nawet bardzo wąskiego kręgu — specjalistów.

Na tę dynamikę rozwoju czytelnictwa poważny wpływ wywierają także inne czyniki charakterysty-czne dla wszystkich nowoczesnych społeczeństw, jak np. wzrost ilości czasu wolnego, rozwój środków ma-sowego przekazu (radio, telewizja, film), które rozbudzając różnorakie zainteresowania otaczającym nas światem wzmagają także zapotrzebowanie na książkę.

Biorac to pod uwagę wydawcy postulowali dalsze zwiększenie produkcji książek, wskazując, że prawdopodobnie dopiero 200 milionów egzemplarzy, a więc dwukrotnie więcej niż obecnie, pozwoliłoby w roku 1970 zlikwidować głód książki. Produkcja tego rzędu oznaczałaby w przybliżeniu 6 egzem-plarzy na 1 mieszkańca Polski, co zrównałoby nas z takimi krajami o rozwiniętym czytelnictwie, np. NRD lub Czechosłowacją. jak

Realizacja tego postulatu jest oczywiście niełatwa. W zakresie produkcji papieru nie jesteśmy bowiem krajem samowystarczalnym i dlatego niezbędny jest import papieru lub kosztownych maszyn do jego wytwarzania. Także nasz przestarzały przemysł drukarski wymaga poważnych inwestycji, gdyż na-wet już obecnie nie jest w stanie sprostać swym zadaniom. W najbliższym planie 5-letnim państwo przeznaczyło przeszło miliard zło-tych na modernizację tego przemysłu (o 27 proc. więcej niż w po-przedniej 5-latce), co prawdopodobnie pozwoli przezwyciężyć więk-szość obecnych trudności, które dziś stanowią wąskie gardło w produkcji ksiażek.

Kieszonkowce

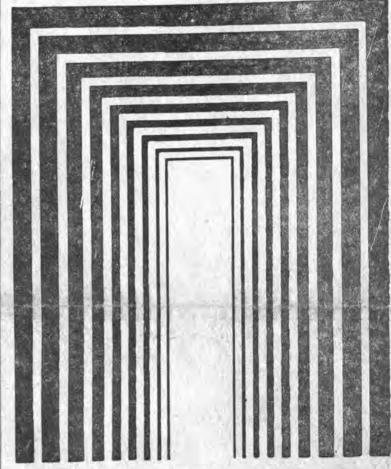
Zarówno pisarze, jak i wydawcy przywiązują dużą wagę do nowych form i metod upowszechnienia książki. Mimo wielkiej i wciąż rosnącej sieci księgarń "Domu Książki", docierającej coraz lepiej nawet do niewielkich miasteczek i osiedli, nie wydaje się, aby obecny system sprzedaży mógł w przyszłości po-dolać nowym, znacznie zwiększonym zadaniom. Stąd wypływa ko-

nieczność unowocześnienia handlu książką, a więc rozbudowy sprzedaży prowadzonej przez "Ruch" w jego kioskach i klubo-kawiarniach, stworzenie różnego rodzaju form prenumeraty i kolportażu, klubów książki itd.

Jedną z ważnych spraw jest produkcja taniej książki kieszonkowej wydawanej w masowych, 50-10czy nawet 200-tysięcznych nakła-

(Dokończenie na str. 5)

III Rzeszowskie Spotkania Teatralne



Dążenie do prostoty, skrótu, metafory uznać należy za naczelną niejako dewizę Holdanowicza. Oto plakat, który nagrodzono II nagrodą w dziale plakatu społeczno-politycznego na Krajowym Biennale Plakatu w Katowicach.

(Na str. 3 - Wizyta & Leszka Holdanowicza)

KALMAN SEGAL NAD SANEM

PRZENOCOWAŁEM W HOTELU! z samego rana, zaraz po śniadaniu, z bijącym sercem pobiegłem na spotkanie z profesorem. Unikałem oglądania się w prawo lub lewo, nie chciałem nikogo znajomego spotkać, pragnąłem uniknąć wzruszeń. Nie byżem uodporniony na to spotkanie, nie wiedziałem jak zachować się wobec człowieka, którego znałem trzydzieści lat temu i którego wówczas uwielbiałem.

Zapytałem milicjanta, gdzie mieszka profesor Czobot. Obmacał mnie nieufnym spojrzeniem i pokazał drogę. Poszedłem zaułkiem w dół, w stronę Sanu, minąłem zamkniętą, zdewastowaną cerkiew pod zieloną kopułą, obszediem dawną plebanie, w której niegdyś królował ksiądz Polianskij z obszedlem dawna ruska potężną małżonką: szedlem i czulem, że mój informator, mi-licjant, stoi jeszcze na górze u wylotu uliczki i może zasta-nawia się, czy nie należało wylegitymować tego przyjezdnego, który przyjechał po to żeby odwiedzić starego Czobota.

Dom profesora był niski i drewniany, maleńki stary domek, który przykucnał tu pod Górą Zamkową, ugrzązł w ziemi skrzywił się jak robaczywy pokraczny grzyb. Znałem ten dom, pamiętałem go z moich grzesznych młodych lat i paząca niego teraz, byłem zdziwiony, że nie spłonał i nie bzsypał się podczas wojny, i że nie został rozebrany po wojne. Kiedys mieszkał tu w tym domku pewien czeladnik frychoski. zerski, który na swój sposób podjął walkę z purytańskimi oyczajami w Miasteczku: sprowadził on z Przemyśla dwie crodne córy korynckie, które zadały dotkliwy cios pobożnej cnotliwej moralności tutejszej miodzieży płci męskiej, a nazet poniektórym obywatelom w wieku dojrzałym i star-

Zapukatem ! wszedlem. Pokój był dość duży, ale szare światło sączyło się skąpo przez maleńkie okienka, ni których wisiały postrzępione, brudne firanki. Ze ścian bielo-

nych na seledynowo, odłupywały się cienkie plasterki wapna ufigurowane dziwacznie, jak na fakturze kiepskiego płótna jednego z mojch znajemych malarzy abstrakcjonistów.

Profesor Czobot stał w środku pokoju, olbrzymi i ciężki jak josąg wyrąbany siekierą, Już po tej słoniowatej, nieforemnej staci, musiałbym go poznac. Patrzyłem na niego, a w ustach niałem sucho, nie mogłem słowa wydobyć i tylko to nieznośne

bicie serca ezułem; więc milczałem, czekałem; może on sam te

bicie serca czułem; więc milczałem, czekałem; może on sam te rozmowe zagai.

Patrzałem, usłłowałem patrzeć wnikliwie w natwny sposób wmawiałem sobie, że potrafię wwiercić się wzrokiem w jego cholerną duszę, w te jego małe mądre czy chytre oczki, które są przecież oknami ludzkiego serca; wmawiałem sobie, że potrafię coś przez nie dojrzeć, zrozumieć. Oczywiście wiem, że to było naiwne, to było wprost infantylne; Czoboł był starym cwaniakiem, starym doświadczonym człowiekiem, był ponadto starym zbrodniarzem; gdybym wierzył w istnienie Boga, odmawiałbym w tej chwili modlitwę dziękczynną za to, że miałem szczęście nie zetknąć się z Czobotem dwadzieścia pięć lat temu, w czasach okupacii. temu, w czasach okupacji.

Ta twarz: okrągła, pucułowata, z ogromnym nochalem w środku, woreczki pod oczyma, niegolone obwisie policzki, usta wąskie, skrzywione w ledwo znacznym ironicznym uśmieszku. O, wtedy taki nie był, wtedy profesor był pełen ogłady i gładko ogolony, elegancki może nie był, ale ubierał się gustownie, gustownie i skromnie, a zdrowie tryskało z tej pucułowatej twarzy, chłopskie zdrowie, bo zdaje się, że pochodził ze wsi, z chłopów. I w tamtych odległych czasach, kiedy był mojm nauczyciejem, zdawało mi się niekiedy że w tym był moim nauczycielem, zdawało mi się niekiedy, że w tym jego ironicznym uśmieszku odczytuję pogardę dla świata rządzonego przez panów, I nawet jego życzliwość dla mnie także kładłem na karb tej rzekomej, czy domniemanej soli-darności człowieka, który wyrósł ze wsi, dla chłopca, który również ze wsi pochodził.

Stał więc teraz przede mną w kalesonach i w podartym szlafroku, ogromny i ciężki, w środku tego dużego pokoju, w którym wszystko było niechlujne — brydna pościel rozwalona na lóżku, talerze z resztkami jedzenia na stole, książki roz-rzucone na krzesłach, stare zakurzone książki z dobrych prorzucone na krzesłach, stare zakurzone książki z dobrych profesorskich czasów przedwojennych — mimo woli zwróciłem na ten szczegół uwagę: ani jednego wydawnictwa powojennego tu nie było, stary widocznie nie czytał nowych rzeczy, a i to przedwojenne nie wyglądały na to, by je tu szanowano. Raziło mnie to wnętrze, ten okropny chlew. Ostatecznie wiedział, że tu przyjdę, wysłałem mu pocztówkę, a potem jeszcze depeszę, mógł był dziadyga, posprzątać trochę, nie przyjmuje się nikogo w takiej stajni. Ale on tego nie uczynił zapewne demonstracyjnie tego nie zrobił, widocznie chciał mi w ten sposób dać do zrozumien'a, że gwiźdże na cały świat łacznie ze swoimł dawnymi uczniami; nie on mnie zapraszał i nie on poczuwa się do obowiązku uprzejmości wobec mn.e.

A może bał się tego spotkania? Może bał się jakichkolwiek spotkań? Może po prostu bał się ludzi — nie by w tym nie było dziwnego, miał prawo bać się, miał prawo nawet do an-tropofobii, do kompleksów. Właściwie powinien drzeć jak galareta, a nie stać tak w środku pokoju jak gliniany stoń, jak Golem. Powinien trząść się jak osika podczas burzy — przed nim też ludzie się trzęśli, drżeli przed nim i przed brzmieniem jego nazwiska, w którym było coś ciężkiego, przygniatającego. Nic więc nie szkodzi, jeśli i on dzisiaj czuje ten dreszczyk strachu, ten paraliżujący chłód wzdłuż kręgosłupa. Powinien tu być ktoś inny w tej chwili ktoś siłniejszy, nie ja, ja nie przyszedłem go straszyć, ja nie jestem ramieniem sprawiedliwości, ja kochatem Czobota załedwie trzydzieści lat temu, nie potrafiłem go zapomnieć i nie potrafiłem myśleć o nim obojętnie, ponieważ om był moim nauczycielem a ja byłem jego uczalem, on był tym, który nauczył mnie marzyć o zwycięstwie ludzkiego ducha i ludzkiej doskomałości, to on bawił się mną jak piłką — jednego dnia przekonywał mnie o kozwycięstwie ludzkiego ducha i ludzkiej doskomałości, to on ba-wił się mną jak piłką — jednego dnia przekonywał mnie o ko-nieczności dążenia ku jakimś wyżynom nadłudzkim, niesamo-witym, niemal boskim, a w następnym dniu wyśmiewał cały utopizm tych dążeń i całą ich bezcelowość. Było w nim coś demonicznego, gdy odczytywał głośno fragmenty "Zaratustry" Nietzechego; oszołomieni poezją i filozofią zapominaliśmy kto-jest jego autorem, wydawało nam się, że to on sam właśnie, profesor Czobot jest prorokiem, a my jego uczniami, a każdy z tych uczniów gotów był pójść za nim w ogień.

Nie, nie przyszedłem go straszyć. Nie przyszedłem po to, żeby się bał. I nie przyszedłem po to, by mu dzisiaj wyrazić jakieś moje współczucie lub ubolewanie, wiedziałem z grubsza kim był, a on jeszcze lepiej to wiedział i nie oczekiwał sza kim był, a on jeszcze lepiej to wiedział i nie oczekiwał chyba ode mnie miłości. Nie przyszedłem pocieszać starego, samotnego człowieka, ani uspokajać go. Wcale nie chciałem pomniejszać strachu, który być może jest już cząstką jego natury. Tyle przynajmniej sprawiedliwości powinno być w świecie ludzkich patologizmów, zbrodni ludzkich: ta odrobina strachu i męka strachu. Bo wyrzutów sumienia on nie mógł mieć; gdyby je miał, strzelitby sobie w leb. A przynajmniej wstąpiłby do jakiegoś klasztoru o surowej regule — klęczałby tam tyle godzin dziennie, że nogi spuchłyby mu jak wiadra na pomyje. I dopiero ta ostatnia myśl skłoniła mnie do zerknięcia na jego nogi wystające ze sflaczałych pantofli — istotnie, były spuchniete niesamowicie i bardzo czerwone, miejscami buraczkowe, miejscami fioletowe. I wtedy pomyślałem z ulgą, że profesor Czobot wnet już chyba umrze, i że tak będzie najlepiej.

umrze, i że tak będzie najlepiej.

— Miło mi pana powitać — powiedział dobitnie, ale rękę wyciągnął ku mnie w sposób niezdecydowany, jakby wahając się i szybko ją cośnął; strzepnąwszy palcami, ścisnął je w pięść i ukrył w kieszeni szlafroka.

— Przyjechałem do Miasteczka, żeby sobie wyjaśnić pewne sprawy — powiedziałem, tak jakbym próbował usprawiedliwić swoją obecność. — Dziesięć lat temu też tu byłem, ale wiene nie zastałem pana pofesora. Równo dziesięć lat temu.

— Możliwe — mruknął profesor, nie zmieniając pozycji, nie ruszając się z miejsca, tak jakby wrósł swoimi poteżnymi poteżnymi.

500 powieści Simenona

62-letni Georges Simenon wydal swoją pięćsetną powieść ("Mały święty"). Pierwszą książkę napisał mając lat 16. Jako 25-letni autor stworzył postać inspektora Maigreta niezwykle popularnego bohatera detektywistycznych powieści, Z biegiem lat Simenon stal się jednym z najpopularniejszych pisarzy współ-czesnych nie tylko we Francji. André uważał go za "największego współczesnego pisarza francuskiego"

Najnowsza, pięćsetna powieść Si-menona "Mały święty" utrzymana jest niemalże w konwencji antypowieści. Nie ma tu absolutnie żadnej akcji. Główny i jedyny bohater wychowa-ny w ubogiej dzielnicy paryskiej, spędza całe życie na próbie odtworzenia na plótnie zapamiętanych z dzieciństwa scen i obrazów.

Czy trzeba opowiadać, że przy-chodząca do redakcji poczta jest różnorodna, obfita, że są I takie dni, w których sekretariat przez całą godzinę segregować musi o-trzymaną od czytelników korespon-

Takich listów, z jakim zwróciła się do gazety pani Stanisława J. z po-wiatowego miasta L. też w ciągu roku nadchodzi niemało. Nieko-niecznie domagają się one natych-miastowej interwencji, ujawniając palace zło, któremu opinia publiczna winna się niezwłocznie przeciwstawić, demaskować itp.

A jednak... "Mam jeszcze prośbę

— pisze pani J. na zakończenie
swego drugiego z kolei listu, — by
sprawa opuszczonych starych ludzi nie schodziła z pola uwagi Szan. Redakcji". (Ponieważ Stanisława J. jest byłą wieloletnią nauczycielką, nie zapomniała o tym, by odpo-wiednio wytłuścić słowo n i e s c h o d z i ł a).

Nie żali się ona bynajmniej na askrawe niedobory finansowe, jaskrawe



brak mieszkania, czy też częstą, niestety, w stosunku do ludzi w jej wieku obojętność dalszej rodziny. Jej pretensja jest innego rodzaju, niemniej jednak bolesna, Dotkliwie odczuwa brak żywszego zainteresowania ze strony swojej organizacji związkowej.

Prawie pozbawiona wzroku, u-nieruchomiona w swym mieszka-niu, prosiła kilkakrotnie, by niu, prosiła kilkakrotnie, by ktoś z Powiatowego Zarządu pofa-tygował się do niej i zaglądnął — jak pisze — w jej sprawy życiowe. Prosiła o to jeszcze z początkiem ubiegłego roku, ale przedstawicieli Związku nie doczekała się nieomal do końca roku.

Kiedyś sama pełniła funkcję sekretarza Powiatowego Zarządu Związku w województwie wrocław skim, za swą pracę zawodową i społeczną jest odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, miałaby więc prawo oczekiwać od swych młod-szych kolegów trochę zwyczajnej serdeczności, takiej choćby, jakiej nie poskapili jej blokowi opiekuno-wie, doceniając 40 lat znojnego trudu, jaki oddała wychowaniu młodzieży.

Niechże więc nie będzie jej po-czytane za złe, że np. f o r m a lzaproszenie na akademię Dniu Nauczyciela (z którego sko-rzystać przecież nie jest w stanie), i dołączona doń kwota pieniężna, nie złagodziły go-Przytacza szereg przykłaryczy. dów z innych województw, gdzie kontakty takie nasycone są bar-dziej żywotnymi treściami i opisuje, jak problem ten rozwiązywany jest w ZSRR: "Mam siostrę w Związku Radzieckim we Lwowie, tam starcy otrzymują dostawę mleka do domów, przydział produktów każdego miesiąca i pomoc w komunikacji itp..."

Ale — konkluduje pani Stanisła-wa — nie mogę zrozumieć braku współczucia, obojętności dla dawnych towarzyszy pracy, dlatego proszę o przedyskutowanie tych bo-lączek na forum naszego pisma".

Pożądanym plonem takiej dyskusji, przede wszystkim wśród zainteresowanych nauczycieli, gdyż szczególnie często oni podnoszą to zagadnienie, byłyby próby powoła-nia do życia tzw. środowisk eme-ryckich, czyli zespołów ludzi, co dopiero przeniesionych na emeryture, operatywnych, chetnych jesz-cze do pracy społecznej, dysponują-

cych już swobodniejszym czasem, właśnie oni spełniali rolę łącznika między organizacją związko-wą a tymi, którym jej obojętność wydaje się tak krzywdząca.

isty pełne skarg na znieczulice, i, jak to określała, martwicę społeczną, wobec jej ogrom-nie trudnej sytuacji życiowej, pisa-Pani B. z powiatowego miasta J. Odrobina ciepła, życzliwości, sło-wa otuchy w odpowiedzi, zdołały nieco podnieść ją na duchu, przy-wracały wiarę w ludzi.

Nie zawsze jednakże odpowiedź nawet i najżyczliwsza ukoić może żale, dopomóc.

Istnieją w Rzeszowie takie insty-tucje jak Wojewódzki Komitet O-pieki Społecznej, Wojewódzka Ko-Spraw Starego Człowieka, wypadku skierowania do nich li-stów z redakcyjnej teki, działające szybko na ogół i sprawnie. Słowa uznania należą im się za to, ale chcielibyśmy dziś rozważyć z tymi, ze wszech miar pożytecznymi, in-stytucjami możliwość pewnych zmian w toku postępowania. Chotu mianowicie o tzw. w i a d społeczny, przeprowadza-ny w bloku (w domu, w sąsiedz-twie), gdzie mieszka petent. wiad Wiele niepotrzebnej goryczy i wstydu wzywającemu pomocy przyspatego rodzaju indagowanie jego bliskich sąsiadów. Nie oznacza to oczywiście nawoływania do nie kontrolowanego wydawania funduszy, rozdawania odzieży, artykułów żywnościowych. Jednakże ludzie dotknięci losem, żyjący w szczególnie trudnych warunkach, w przeciwieństwie do tzw. dzieci szczęścia, nie zawsze są najbardziej pożądanymi czy nawet zgodnymi sąsiadami; często natomiast ich mieszkanie stanowi cel pragnień zabiegów ze strony współlokatora, do którego akurat zwraca się w sprawie tak delikatnej. Istniejąwszędzie organizacje społeczne, dla przykładu Liga Kobiet, komi-tety Frontu Jedności Narodu, ewentualnie komitety blokowe, w i nw sposób dostateczny znać w swoim zasiegu tych, którzy w danym momencie nie są sobie w stanie sami zaradzić.

Zima, najcięższa pora roku, jest okresem wzmożonej akcji pomocy społecznej. Warto w związku z tym nieco zmodyfikować stare przysłowie - dwa razy daje, kto szybko

daje, o drobne zastrzeżenie, kto również świadczy w miarę d y skretnie.

Chociaż i rozsądny "wywiad" starszym ludziom czasem wyjść może na pożytek. Pamiętamy nie dawny list od obywatela C., wysłużonego pracownika oświaty, zamieszkałego obecnie w powiecie no-wosądeckim. Jakimiż drogami nie poszukiwał on aktualnego adresu zaginionych przyjaciół swej mło-dości, pragnąc im coś niezwykle ważnego zakomunikować, aż poprzez Ogólnopolskie Biuro Meldun-kowe w Warszawie, przeróżne inne urzędy.

 I co powiecie?
 Dopiero "wywiad" wśród najstarszyci i od lat osiadłych mieszkańców Rzeszowa, wśród rodziny kancow kzeszowa, wsrod rodziny księgarzy, która dobrych kilkadzie-siąt pokoleń zaopatrzyła w szkolne podręczniki i lektury, dopomógł od-naleźć w odległym mieście osoby, tak goraco poszukiwane przez pa-na C., który aczkolwiek sędziwy, nie żałował czasu, śląc do nas jakże urocze, wykwintne, przepiękna polszczyzna pisane listy.

L ektura listów od pani J., od pani B. odkryła nam nie tyl-ko ich osobiste smutki, skromne pragnienia, drobne a dotkliwe tro-ski. Ukazala nam również i c h miasta, społeczności, w których ży-ją, w innym nieco świetle: zwróciuwage na pewne skazy, rysy, czy wręcz luki w międzyludzkich sto-sunkach, które, jakże łatwo, przy odrobinie zangażowanej aktywności można by wyrelnic

Tych skaz ani miasto L. ani J. jak w e e innych zresztą, nie uka-zują wówczas, gdy zaprezentować sie pragna od najlepszei strony.

Drobiazgi kulturalne

"CZTERDZIESTU NA GÓRZE" MINKOWSKIEGO PO ROSYJSKU

Powieść Aleksandra Minkowskiego "Czterdziestu na górze" (PIW 1961) ukaże się w przekładzie na język ro-syjski na początku 1966 r. Książkę pu-blikuje Wydawnictwo Literatury Obcej "Progress" w nakłaczie 75 tys. egzem-plarzy

ERWIN AXER W TELEWIZJI NRF

Telewizja zachodnioniemiecka nada-Telewizja zachodnoniemiecka nada-ła w swoim pierwszyh programie roz-mowę z naszym znanym reżyserem Erwinem Axerem. Temat rozmowy: życie teatralne w Polsce. Erwin Axer bawi obecnie w NRF, gdzie reżyseruje w teatrze w Duesseldorfie sztukę Sła-womirz Mrożka. Tando" womira Mrożka "Tango".

POLSKIE ZESPOŁY TEATRALNE NA LITWIE

W Wilnie i Kownie działają polskie zespoły teatralne złożone z artystów amatorów. Obydwie sceny utrzymuja ożywione kontakty. Np. ostatnio polski zespół przy wileńskim Pałacu Kolejarzy wystawił w Kownie komedię Fredry "Damy i huzary". Poprzednio w Wilnie odbyło się przedstawienie przygotowane przez zespół kowieński.



Fot. M. KOPEC

gami w ziemię. – Pan chyba wie, że siedziałem wtedy w więzieniu?

zieniu?

— Wiem, panie profesorze. Ale nie wiem wszystkiego.

— Wszystkiego nikt nie wie — zaśmiał się gardłowo. — Dlaczego właśnie pan chciałby wszystko wiedzie?

— Czy mogę usiaść? — zapytałem i nagle poczułem pragnienie, chciałem się czegoś napić; w kącie stało na zydlu wiaderko i garnuszek emaliowany, poderwałem się i pobległem, żeby naczerpać wody, ale i on wreszcie już ruszył się z miejsca, a gdy szedł, podłoga uginała się pod jego ciężarem i miejscami skrzypiały deski; nie dziwiłbym się, gdyby był grzyb pod ta podłoga, może właśnie ten grzyb wydzielał taki przykry odorek, który drażnił moje powonienie.

— Niech siada — powiedział Czobot. — Mam tu gdzieś flaszka

Niech siada — powiedział Czobot, — Mam tu gdzieś flaszkę wina. A może pan głodny?

I zaczął grzebać pod tóżkiem, otwierał szafikę i zamykał, za-glądał do szufladek, nie pamiętał gdzie się to wino podziało, wreszcie znalazł butelkę, ale to nie było wino, to była zwykła woda mineralna, krynicki "Zuberek" z zapaszkiem zgniłych jaj.

Nagle zrodziło się we mnie podejrzenie, że ten mój kochany profesor może mi jakiegoś proszku nasypać do szklanki, otruje mnie ten lobuz, ta stara świnia, tak, że nawet nie pisnę, i nawet świadka nie będę miał na tamtym świecie, na okoliczność zgładzenia mnie. Zrezygnowałem z poczęstunku, podziękowałem, a i on nie nalegał.

- Kledy miałem piętnaście lat, pan dał mi do ręki klucz. - powiedziałem nie bez wzruszenia. - Zdawało mi się, że to jest złoty klucz. Czytałem Nietzschego i wierzyłem, że pewnego dnia stanę się duchem najczystszym. Esencją doskonałości. Marzylem o wstąpieniu do klasztoru i prawdę mówiąc, do niinnego nie nadawalem się.

— Młody człowieku — powiedział Czobot, zupełnie nie zwracając uwagi na moje słowa: jego myśli szty widać, innym, od lat utartym torem: Pan chyba wie, że zostalem skazany na śmierć. Ułaskawiono mnie ze względu na chorobę. Chorych nie wieszają. Zamieniono mi stryczek na dożywocie. Potem mnie wypuszczono za dobre sprawowanie. Zawsze wam mówiem ze trzeba się dobrze sprawować. wilem, że trzeba się dobrze sprawować.

wilem, ze trzeba się dobrze sprawować.

— Pan dbał o nasze wykształcenie, o nasze wychowanie duchowe — ciągnąłem dalej mój monolog — Pan sam w nie nie wierzył, ale nam, swoim uczniom, potrafił pan wpoić każdy mit. Myśmy panu wierzyłi. Potem okazało się, że w życiu trzeba się bronie i trzeba walczyć. Ale pan odebrał nam zdołność do obrony i zdolność do walki. No, nie wszystkim. Tym, którzy panu najbardziej wierzyli. Swiatem rządziła pięść, a myśmy czekali objawienia ducha. Oglądaliśmy się, z której strony nadejdzie Caesar mit der Seele Christi.

— Nikogo nie mordowałem — powiedział profesor. — Nie mordowałem Polaków.

potem dodal:

A potem dodał:

— Żydów też nie mordowałem.

— Kiedy opuściłem szkołę, nie byłem zdolny do życia. Szedlem przez świat jak ów biblijny syn Jakóbowy, Naftali, który skakał po kłosach traw, nie zginając ich kruchych łodyg. Wierzyłem w świat ludzi doskonałych, w dobroć i mitosierdzie. To pan przecież powtarzał: Nur die Liebe soll richten! Innym razem uczył mnie pan mitosierdzia. I nie mogę o to mieć pretensji do pana, bo świat rzeczywiście potrzebuje miłosierdzia. Ludzie nie mogliby żyć bez mitosierdzia. Wszyscy potrzebują miłosierdzia, dzieci i starcy, ci co się rodzą i ci co umierają. co umieraja.

— Nie było świadków w tym procesie, żaden świadek nie był poszkodowany — syczał stary Czobot, a ja nie mogłem zrozumieć, jak z tej potężnej postury wydobywa się taki nędzny głos. — Oficer śledczy, taki młody gówniarz, bił mnie

— Niech mnie pan nie zagaduje swoją krzywdą! — krzykną-lem. — Tym, że ktoś pana bił po pysku. Nie umarł pan od tego. Ja chcę wiedzieć, jak to się mogło stać, że właśnie pan-Nie byle kto, nie byle rzezimieszek, ale pan profesor Czobot! Ja przecież w pana tak wierzyłem. A dzisiaj... Ile razy dzi-siaj mówie ludziom o dobroci i o miłosierdziu zawsze muszę myśleć o panu. I za każdym razem zdaje mi się że mówie myśleć o panu. I za każdym razem zdaje mi się, że mówię jakieś kłamstwo, jakieś cholerne, śmierdzące kłamstwo. Ale miłosierdzie nie jest kłamstwem. Miłosierdzie jest ideą, dzięki której żyjemy.

Wstał i nie spuszczając ze mnie oczu, zaczął się wycofywać w szarą głąb izby.

Więc ty... Ty, szczeniaku. Ty też przyszedłeś mnie sądzić?
 zapytał, a mówił to szybko i nienawistnie. – Ja już byłem

— Nie przyszedłem pana sądzić — odpowiedziałem i znów ogarnęto mnie zdenerwowanie, drżałem i jąkałem się. — Nie mam do tego prawa. Nie jestem sędzią. Sądził pana sąd Polski Ludowej. Potem ktoś do tego powołany, ułaskawił pana. Nikt nie ma prawa tych wyroków negować czy kwestionować. A zresztą... Nie, nie mógłbym być pańskim sędzią. Przecież pan mnie uczył. Kochałem pana.

- To Dionizy świadczył przeciwko mnie. Dionizy, pamiętasz go?

Dionizy świadczył przeciw niemu. Dionizy, którego znałem od dzieciństwa i który był uosobieniem czystości. Wczoraj siedziałem z nim do późnej nocy. Dionizy rzeczywiście był jednym ze świadków oskarżenia — a któż miał w tym procesie świadczyć? Nieboszczycy? Ci rozstrzelani, czy ci z Oświęcimia? Ci, których powieszono na Jamie koło knajpy Elowej. Aniołowie z nieba mieli świadczyć? — Czego wy ode mnie chcecie? — zapytał profesor i nagle przyklapnął, usiadł i przyłożył rękę do serca, zabrakło mu sił do dalszego zgrywania się, to był już stary człowiek, to już był cmentarz, te jego obwisłe miegolone policzki raptownie pozieleniały, otworzył usta, zauważyłem, że uzębienie ma marne, sczerniałe, nie takie jak wtedy, gdy był podziwiany i lubiany, i zapewne nie takie, jak wtedy, gdy miał władze nad ludźmi. Miał teraz otwarte usta i tymi otwartymi ustami

łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

— Zostawcie mnie w spokoju — zaskomlal. — Mam już siędemdziesiąt lat, długo już nie pożyję. Chory jestem, dopiero niedawno wróciłem ze szpitala.

Prosił, żeby mu podać wody, podałem, pił chciwie, wierz-chem dłoni otarł usta. Bili mnie po pysku – powiedział, – Byłem skazany, Od-siedziałem. Mogę pokazać papiery,

Już nie twierdził, że jest niewinny, ale zasłaniał się upo-korzoną dumą: ktoś bił go po pysku, ktoś kto wiedział o jego zbrodniach, ktoś kto może przez niego stracił dziecko, ojca, matkę, kochankę albo żonę.

Jego słowa dawno już przebrzmiały, a ja jeszcze je słyszałem, ja dopiero rozszyfrowywałem ich treść i nie mogłem zrozumieć w jakim celu tu przyszedłem. Po co?

— Z czego pan żyje? — zapytałem. — Z kim pan tu mieszka?

— Sam mieszkam. A żyję z paczek. Brat przysyła. To właśnie on mordował, a nie ja. Był atamanem w lesie. Teraz
jest w Niemczech. Dobrze mu tam. Nie tak jak mnie.

Głowa mnie rozbolała. Miałem już dość tej rozmowy, dość konfrontacji — cały pomysł z odwiedzeniem Czobota wydał mi się teraz zupełnie idiotyczny. Patrząc na niego próbowiem odgadnąć czym kierowali się ci, którzy go ułaskawili. — Może miłosierdziem, o którym on chętnie kiedyś mowił; a może tym, że to nie był już człowiek i to nie był już przestępa, to był już tylko łachman ludzki, ruina swojej własnej przestości. Ruina, pod którą spoczywały trupy.

- Do widzenia, panie profesorze - powiedziałem, odchodza

w stronę drzwi.

Milczał, ale zdawało mi się, że jego waskie wargi układaja się w ironiczny grymas tego złośliwego uśmiechu, przed którym często drżeli kiedyś jego uczniowie.

Poszedłem do Dionizego, więcej już w tym mieście nikogo nie miałem, inni byli już zupełnie dalecy, zupełnie mi obcy.

Siedział w swoim maleńkim pokojku biurowym, w tym sa-mym, gdzie urzędował dziesięć lat temu. Nic się tu nie zmie-niło w tym ubożuchnym gabinecie: stare przedwojenne biurko szafka na książki. Na czołowym miejscu stał Gorki, pomyśla lem, że Dionizy pozostał wierny swoim młodzieńczym gusto literackim i zaraz połapałem się, że to nie o gusty chod-gusty literackie zmieniają się u każdego inteligentnego c

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

U LESZKA HOŁDANOWICZ

W okresie powojennym, pięćdziesiątych obserwować można burzliwy rozwój naszej grafiki, a szczególnie plakatu. Polski plakat rozpoczyna wówczas swą wielką karierę zagraniczną: towarzyszą jej nagrody i wyróżnienia na różnego rodzaju międzynarodowych festiwalach, przeglądach oraz ekspozycje w wielu renomowanych ośrod-kach sztuki światowej. Do grupki świetnych artystów starszego i śred niego pokolenia, jak Henryk Toma-szewski, Tadeusz Trepkowski, Stanisław Zamecznik, Józef Mroszczak i inni, dołączają młodzi, ambitni i utalentowani twórcy, w większości wychowankowie tych pierwszych. Przy tym liczba młodych wraz z upływem czasu stale się powiększa: jest to zjawisko naturalne i zarazem napawające otuchą, jeżeli chodzi o perspektywy polskiej sztu-

Mamy uzasadnione powody, aby do grona młodych grafików, któ-rych nazwiska coraz częściej pojawiają się, gdy mowa o osiągnie-ciach naszego plakatu, zaliczyć Le-szka Holdanowicza, który w 1945 roku osiedla się w Rzeszowie. Tu-taj zdaje mature i zgodnie ze swo-imi zalnieracowaniami, rozpoczyna imi zainteresowaniami rozpoczyna studia w krakowskiej ASP W tym czasie — podobnie zresztą jak i dzisiaj — nadal utrzymuje bliskie kontakty z Rzeszowem, każde ferie, wakacje spedza u rodziców, w gronie przyjaciół, znajomych, któ-rych ma tu sporo z lat gimnazjal-nych. W okresie studiów młody gra fik podejmuie pierwsze samodzielne prace. Nawiązuje stała współprace z teatrem rzeszowskim, zaj-muje sie opracowaniem graficznym jego wydawnictw, realizuje kilka plakatów teatralnych.

Gdy dzisiaj odwiedzam Holdano-wiczów w ich niewielkim war-szawskim mieszkanku i wspominam gospodarzowi o plakatach rze-szowskich, ten pobłażliwie wzrusza ramionami: to nie były plakaty lecz dobre chęci!

Cóż, pan Leszek może sobie pozwolić na taki dystans wobec swych w okresie, który upłynał od rze-szowskich prób, zapisał na swoim koncie niemało sukcesów. Sam gospodarz mówi o tym zresztą niechęt-

nie.
Wyjątkowo pomyślny był dla nie-go rok 1963. Pod koniec lat pięć-dziesiątych Hołdanowicz przeniósi dziesiątych wylom robi na się do Warszawy, dyplom robi na warszawskiej ASP, u prof. Henryka Tomaszewskiego. Artystyczne poczynania Hołdanowicza zwracają uwagę w wielkim liczebnie środowisku młodych grafików war-szawskich. W 1963 roku artysta o-trzymuje najpoważniejsze wyróżnienie krajowe dla młodego grafi-ka: nagrodę im. Tadeusza Trep-kowskiego. Nagrodą imienia znakomitego. przedwcześnie zmarłego twórcy wieńczy się — jak wiado-

od lat mo - dzieło plastyczne mocno zaangażowane w problemy współczesności. Jest to plakat do filmu Bossaka i Kaźmierczaka "Requiem dla 500 tysięcy". Film jest dokumentem wstrzusającym: opowiada o zagładzie warszawskiego getta. W jaki sposób wyraził Hołdanowicz okrutną prawdę o barbarzyńskich mordach, popelnionych przez hit-leryzm na milionach niewinnych lu-

> Chodziło mi o to, aby plakat był prosty, a przy tym wyrażał możliwie jak najwięcej treści. A przy tym jakże zobowiązujący sam temat: bestialska eksterminacja milionów. Któż pozostałby wobec tej straszliwej prawdy obojętny?

> W katalogu z włoskiej ekspozycji polskiego plakatu oglądam re-produkcję dziela Hołdanowicza. Srodek czarnej płaszczyzny zajmuje sledmioramienny świecznik, pro-sty, bez żadnych czdobników. Nad nim jak płomienie chwieją się w geście rozpaczy bezbronne białe dlonie pomordowanych. Plakat oszczędny, wręcz ascetyczny tak w zakresie barwy, jak i kształtu. Operuje tylko dwoma kolorami: czerbielą, motywem świecznika i ludzkich rak, a przy tym jakże jest wymowny, Jego siła leży w nie-zwyklej prostocie, w sugestywnym wyrazie świetnie skomponowanych motywów.

> Dążenie do prostoty, która wyra-żałaby bogactwo treści uznać należy za naczelną niejako dewizę Holdanowicza — grafika. Plakat jest tym specyficznym gatunkiem twórczości plastycznej, która z racji swoich funkcji szczególnie domaga się prostoty, skrótu, błyskotliwej, lecz czytelnej metafory. Plakat tkwi w samym środku współczesności, znajduje się niejako w samym cen-trum coraz szybszego rytmu życia współczesnego człowieka. Człowiek spotyka się z plakatem na ulicy, na słupie ogłoszeniowym, tablicy, na płocie. Celny plakat musi być tak skonstruowany, aby jego treść trafiła błyskawicznie do umysłu, do zawsze śpieszącego się przechodnia, aby go porwała, zacieka-wiła, zmusiła do zwolnienia kroku, słowem, aby nie pozostawiła go o-bojętnym. Dodatkowa trudność le-ży w tym, że każdy dzień przynosi nowe pomysły, nowe afisze, pla-katy i wobec tej obfitości reklamy wizualnej człowiek współczesny staje się niejako mniej wrażliwy, obojetność pojawia się jako rezultat przesytu.

> W tym samym 1963 roku Leszek Hoidanowicz oprócz "Requiem" przygotowuje jeszcze kilka wysoko ocenianych plakatów. Jego afisz do niedokończonego filmu "Pasażerka" przedwcześnie zmarłego, znakomi-tego twórcy filmowego Andrzeja Munka przynosi mu wyróżnienie. I tutaj problem jest podobny: sprawa wojny, obozów koncentra-

cyjnych, odpowiedzialności za zbrod nie. jak więc widać, Leszek chętnie podejmuje w swej sztuce węzłowe

zagadnienia współczesności. Wyróżnienie przypada mu również za plakat o odmiennej co prawda, lecz jakże bliskiej nam w Rzeszowie tematyce. Jest to afisz anonsujący najpiękniejszą, doroczną imprezę muzyczną w Rzeszow-skiem, Dni Muzyki Kameralnej w

Obydwa powyższe wyróżnienia przyznano Hołdanowiczowi w stalym, bardzo zresztą popularnym konkursie "Życia Warszawy" WAG-u i Stolecznej Rady Narodowej pt. "Najlepszy plakat miesią-

I w ubr. laury nie minely artysty. Otrzymuje wyróżnienie w konkursie za plakat na święto Odro-dzenia, 22 Lipca oraz drugą nagrodę za zrealizowany wespół z kolegą, Andrzejem Szklarczykiem, pla-kat w ogólnopolskim konkursie na Dni Zielonej Góry.

Jego plakat znajduje się w gru-pie polskich plakatów nagrodzonych wyróżnieniem zespołowym na międzynarodowym konkursie pod hasłem "O przyjaźń między narodami", ogłoszonym z okazji 800-lecia Lipska.

Jak można by krótko określić zainteresowania Leszka? Widoczna jest wyraźna jego specjalizacja w dziedzinie plakatu, z którego znowu szczególnie bliski jest mu pla-kat społeczno-polityczny i kultu-ralny. Jeżeli chodzi o problemy warsztatowe, artystyczne: pasjonuje go zagadnienie ruchu...

Holdanowicz jest młodym arty-stą. Jego dotychczasowe osiągnięcia stanowią dopiero zapowiedź tego, czego należy oczekiwać od nie-go w przyszłości. O pozycji, o ran-dze, której zdołał się dopracować w krótkim stosunkowo czasie w środowisku reprezentujących wysoki poziom i cieszących się uznaniem zagranicy twórców grafiki polskiej — najlepiej świadczy fakt, że od paru lat plakaty Hołdanowicza należą do krajowej reprezentacji tego gatunku. Dzieła L. Hol-danowicza wystawiane były w zbiorowych ekspozycjach plakatu polskiego na międzynarodowych poka-zach w wielu krajach świata m. in. Japonii, Włoszech, ZSRR, Szwecji, Danii i Austril.

Ostatnie tygodnie znowu przyniosły zdarzenia, które umocniły po-zycję artysty grafika, potwierdziły niejako jego akces do krajowej czołówki najbardziej doborowego grona twórców współczesnego plakatu polskiego. Na krajowym Bien-nale Plakatu w Katowicach, Hot-danowicz zdobył <u>druga</u> nagrodę w dziale plakatu polityczno-społecz-nego za utwór pt. "Pokój światu, wolność ludom". Konkurs katowicki stanowił niejako przygotowanie do wielkiej ogólnoświatowej impre-zy, która odbędzie się w czerwcu



Treść tego plakatu nie wymaga wyjaśnień...

br. w Warszawie, do I Międzynarodowego Biennale Plakatu. Do udziału w iej wielkiej konkurencji sztuki graficznej z całego świata zaproszono najwybitniejszych artystów współczesnej doby z Pablo Picasso na czele. Jeżeli chodzi o artystów polskich — to trzon ekspozycji stanowić będą plakaty 14 grafików, zaproszonych do konkurzy wtród których znależ jie zów. su, wśród których znalazł się rów-nież Leszek Holdanowicz Zwa-

żywszy na range Biennale, jest to

wyróżnienie wysokiej klasy.
A w ogóle to nagród ciągle przybywa. Niedawno artysta dowiedział się za pośrednictwem biuletynu informacyjnego ZPAP, że przyznano mu III nagrode w konkursie na plakat filmowy "Cinema 16 So-ciety Colombo". W tym egzotycz-nym konkursie, który odbył się w stolicy Cejlonu brało udział 9 kra-jów.

Szostakowicz - junior za pulpitem dyrygenckim

Godnym następcą Dymitra Szostako-

Godnym następcą Dymitra Szostakowicza okazał się syn sławnego kompozytora — 27-letni Maksym.
Niedawno w wielkiej sali Moskiewskiego Konserwatorium miał miejsce publiczny debiut miodego artysty, który jest świetnie zapowiadającym się dyrygentem.
Maksym Szostakowicz nie od razu poświęcił się dyrygenturze. Jako 7-letni chłopiec rozpoczął naukę gry na fortepianie. Robit postępy tak szybkie, że wstępując po kilku latach do Moskiewskiego Konserwatorium zaprezentował na egzaminie wstępnym II Koncert for-

teplanowy swego ojca, dedykowany zre-sztą Maksymowi. Tenże sam koncert wykonywał wkrótce z czołowymi orkię-strami Związku Radzieckiego i nagrał strami Związku Radzieckiego i nagrał go także na płyty. Do III roku studiów uczył się pod kierunkiem wybitnego planisty i pedagoga Jakuba Fliera. Potem zaczął iączyć planistykę z dyrygenturą. Ostatnie dwa lata spędził na wydziale dyrygentury i symfoniki, gdzie jego mistrzem był znany i w Polsce Genadij Rożdiestwieński. Zajęcia na uczelni nie przeszkodziły mu objąć stanowiska asystenta w Moskiewskiej Państwowej Orkiestrze Symfonicznej.

wieka, tu chodzi raczej o wierność, jaką każdy z nas dotrzymuje zazwyczaj jednemu plsarzowi, którego uwielbiał w młodości. Nie miatem nie przeciw Gorkiemu, przeciwnie, nawet mi to sprawiło pewną przyjemność, bo przejechawszy w latach wojny Rosję wszerz i wzdłuż, zrozumiatem wielkość i geniusz Gorkiego.

Gorkiego.

— Byłeś u Czobota — powiedział Dionizy, i jego twarz roz-jaśniła się w uśmiechu, w tym urzekającym uśmiechu, który był jego legitymacją. Kto widział go uśmiechniętego, ten wie-dział, że ma do czynienia z człowiekiem dobrym.

Byłem, choć nie wiem, czy to było celowe, Chciałem coś zrozumieć, uporządkować jego konto w buchalterii moloh uczuć. Nie wiem jak to się mogło stać? Taki człowiek. Taki Czobot.
 No, właśnie — roześmiał się gorzko Dionizy. — Takie bo-

żyszcze.

— Z czego się śmiejesz? — oburzylem się, bo to chyba nie był śmiech na miejscu.

- Śmieję się z ciebie. Z twojej naiwności. Z twojej głupoty. Mogleś sobie tę wizytę podarować! Chciałbyś, żeby on ci wytłumaczył narodziny zbrodni, siew zła, kiełkowanie przestępstwa, przemianę człowieka w zwierzę. Właśnie z nim chciałeś na ten temat rozmawiać? I on miał ci to wytłumaczyć. On ze zwoje przeszłoście.

n, ze swoją przeszłością. Siedziałem przygaszony, przybity.

— Mogę ci to wszystko odtworzyć jeżeli ty sam nie potrafisz. Przeczyta'em jego akta sądowe od deski do deski, ważą siedem kilogramów i trzysta gramów. Tam jest cale jego życie. Jeszcze tylko brakuje aktu zgonu. Jego kariera zaczęła się na Ukrainiew w okresie Petlury. Czobot byl wtedy młodym człowiekiem, ochotnikiem. Po upadku i rozsypce kontrewolucji, przedostał się do Polski, tu studiował i tu został człowiekiem.

Przyznasz, że był dobrym człowiekiem, wtedy kiedy

był naszym nauczycielem.

— Zewnętrznie. Ho on tę swoją petlurowską butę, tę szkolę petlurowską on nosił w sobie przez wszystkie lata. Czekal na

Przypomniało mi się to, co Czobot kiedyś mówił o możnych panach, o wielmożach kresowych i o dygnitarzach, mówił to nie na lekcji, mówił mi to w cztery oczy kiedy go raz odprowadzalem do domu: lubił mnie i miał do mnie zaufanie. Mówił o wyrokach historii i apokalipsie, która powinna nadejść. Mówił o panach, ale miał na myśli p o l s k i c h panów (to stało się dla mnie jasne dopiero wiele lat później), a ja byłem wtedy młodym chłopcem i nie zrozumiałem go, kładłem jego słowa i jego nienawiść na karb klasowych zagadnień; to był mój kochany nauczyciel, więc chciałem w nim widzieć buntownika, marzyciela wojującego i uczącego marzeń o dobrym sprawiedliwym świecie bez wielmożów i bez różnic klasowych. Ale w istocie on nie interesował się problemami klasowymi: Był nacjoistocie on nie interesował się problemami klasowymi: Był nacjo-



Rys. J. SIENKIEWICZ

 Czy ty mnie słuchasz? — obudził mnie Dionizy.
 Te jego wykłady, pamietasz? Ich liebe Den, welcher lebt, damit er erkenne, und welcher erkennen will, damit einst der Übermensch lebe.

To nie ma nic do rzeczy. Im to też nie przeszkadzało.

— Im? — nie zorientowałem się kogo ma na myśli — Komu? — Hitlerowcom. Czy sądziesz, że wśród nich nie było doskona-łych znawców Nietzschego? Znali na pamięć całe rozdziały. To była ich biblia. Czerpali z niej rozgrzeszenie.

Nagle, niespodziewanie zrodziła się we mnie iskierka nadziei. — Powiedzi Ty przecież znasz tę całą sprawę dokładnie. Może to jednak była jakaś pomytka sądowa? Może Czobot jest nie-winny? W procesach poszlakowych wszystko jest możliwe.

Byłem zdenerwowany, byłem już chory, głowa pekała mi z bólu, czułem się stary i nieszczęśliwy. Szlag by go trafił, tego całego pana profesora. Tego znawcę filozofii Nietzscheańskiej. Zachciało mi się powrócić do tego cholernego Miasteczka, zachciało mi się wdepnąć w tę śmierdzącą sprawę starego Czobota. Potrzebne mi to było?

— To nie był proces poszlakowy, wyblj to sobie z głowy — powiedział Dionizy ze spokojem, który w nim podziwiałem; dobrze, że nie udzieliło mu się moje podniecenie. — To był dobrze przygotowany proces z dowodami i świadkami. Mlał najdroższego obrońcę z Warszawy. A twoje watpliwości? Twoje watpliwości oplerają się tylko na tym, że według Clebie nie można mówić o idealnym "nadczłowieku", a jednocześnie być bydlęciem. Okazuje się, że można. Interpretacja dziela sztuki jest zaw sze zależna od mentalności interpretacja dziela sztuki jest zaw sze zależna od mentalności interpretacja dziela sztuki jest zaw. sze zależna od mentalności interpretatora. Historia to udowod-niła wielokrotnie. Nietzschego wszyscy mogą cytować. Można wąchać róże, a po chwili strzelać do małych dzieci. Widzieliś-

Dobrze – przerwałem. – Chcę, żebyś mówił o Czobocie.

— Po wejściu Niemców, Czobot został tu kimś w rodzaju bur-mistrza. Chodził w cywilu, ale mówli już tylko po niemiecku. Zarekwirował sobie kilka ładnych sklepów żydowskich, Leona Hasenganga sklep i jeszcze dwa inne, i zaczał rządzić. Prawdę mówiąc, całe Miasteczko cieszyło się z takiego obrotu rzeczy, namówiac, całe Miasteczko cieszyło się z takiego obrotu rzeczy, nawet Hasengang się cieszył, bo sądził, że po wojnie Czobot wszystko mu zwróci. A kiedy zaczęto zamykac Zydów w getcie, Hasengang szedł jak na wesele: skoro Czobot kazał mu iść, nie widział powodu do obaw; w każdym razie wiązał z Czobotem poważne nadzieje. No, nie tylko Hasengang tak myślał. Wszyscy liczyli na to, że ten intelektualista stanie się wybawicielem. Ale mylili się. Nie znali Czobota, nikt go nie znał. Pierwsze rozczarowanie, powiedzmy ściślej: pierwsza fala rozczarowań nadeszła, kiedy okazało się, że na Czobota nie można liczyć, że nie on będzie wybawicielem. Czobot odmawiał jakichkolwiek interwencji. Nie wykorzystał żadnej szansy czynienia dobrze. Czy wyrażam się dość jasno? wyrażam się dość jasno?

Dyskusje • Polemiki • Dyskusje • Polemiki • Dyskusje • Rozmowy z twórcami

Na temat humanizaji pracy

zioła pt. "Polskie eksperymenty", traktujący o stosunkach międzyludzkich i humanizacji pracy, opublikowany w 50 numerze "Widnokręgu" przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Pragnę podjąć dyskusje, chociaż - mówiac szczerze - nie pracuję ani w fabryce, ani też w bardziej rozbudowanej instytucji, gdzie problemy poruszone przez autora artykułu są szczególnie drastyczne, Zakład pracy. Hale produkcyjne i biura. Kobiety i meżczyźni. Znajomi i obcy. Zaprzyjażnieni i zwaśnieni. Pracują. Mówią o sprawach istotnych i plotkują. Wykonują plany produkcyjne albo nie. Wynagradzani według zasady "jaka praca, taka płaca". Albo krzywdzeni przez własne nieróbstwo, czy też "oko" zwierzchnika, które wzięlo sobie kogoś za cel szczególnej "troski". Ta powierzchowna charakterystyka zakładu i ludzi w nim pracujących - to moja osobista próba spojrzenia przez gąszcz wielu spraw i problemów na drzwi dyrektora i innych osobistości w zakladzie, które są często podwójne, obite skórą lub dermą, aby były dźwiękochłonne. Nie mam na celu naruszania przepisów dotyczących zabezpieczania biur i gabinetów przed "wysmyknięciem się" jakiejkolwiek tajemnicy służbowej czy też podważania dobrej opinií i autorytetu zwierzchników tego lub innego zakładu. Moje uwagi, na pewno dyskusyjne i na pewno bez próby jakiegokolwiek generalizowania, oparte są o własne obserwacje i rozmowy prowadzone przypadkowo z robotnikami, którym ustrój socjalistyczny, w postaci awansu spolecznego, nadał prawo współrządzenia zakładem.

Ksztaltowanie stosunków międzypolegających przede wszystkim na wzajemnej wyrozumiałości i pomocy, serdeczności i przyjażni, humanizacja pracy w odniesieniu do człowieka sprzątającego hale fabryczne czy biura oraz człowieka z gabinetu lub biura działu czy wydziału plus kultura życia poszczególnych członków załogi, a następnie całego środowiska robotniczego - to polowa uzyskiwanych efektów produkcyjnych. Osobiście - sprawy człowieka, w imię którego działa nasz ustrój społeczny, stawiałbym na pierwszym miejscu przed organizacją pracy i postępem technicznym, jako ważnymi czynnikami usprawniającymi procesy produkcyjne, bo od prawidłowo ukształtowanych stosunków międzyludzkich oraz od należycie

Artykuł redaktora Zdzisława Ko- pojętej humanizacji pracy zależy wartość wykonywanych zadań powierzanych przez majstra czy kierownika. Tylko w takiej atmosferze można mówić o kształceniu świadomości i odnajdywaniu przyjemności w wykonywanej pracy czy na-wet entuzjazmu dla reprezentowanego zawodu. Do odpowiedzi na pytanie socjologa cytowanej w arty-kule redaktora Zdzisława Kozioła, która brzmi: "Zakład jest już zhu-manizowany z wyjątkiem wentyla-tora i personalnego" dodałbym z wyjatkiem sekretariatu z podwójnymi drzwiami do dyrektora i kilku telefonów na biurku. Przepraszam - to nie żadna złośliwość. Ale proszę natomiast wczuć się w po-

Człowiek na pierwszym miejscu

łożenie człowieka, który kieruje swoje kroki do zwierzchnika zakładu, aby pożalić się na psujące krew otoczenie, zwierzyć się ze swoich klopotów mieszkaniowych lub trudności bytowych, albo prosić o przeniesienie na inne stanowisko... Najpierw otwiera drzwi do sekreta-riatu. Potem mówi dzień dobry i epyta o dyrektora. Sekretarka albo odpowie na powitanie, albo nie, w zależności jaki ma humor albo, ja-ki jest wygląd interesanta. Jeżeli dyrektor zajęty, sekretarka odpo-wiada zaczekajcie na korytarzu, a gdy u dyrektora nie ma nikogo dzwoni przez jeden albo drugi telefon i pyta czy taki a taki obywatel może wejść. I tu znów albo, albo. Gdy szef, naczelnik lub dy-rektor jest "wolny" sekretarka wskazuje drzwi. Człowiek wchodzi. Rozpoczyna dialog. Chce powiedzieć wszystko naraz, co go boli. nia się rwą. Dzwonią telefony. Dyrektor słucha interesanta i mówcy z drugiej strony telefonu. Naraz tłoczą się wszystkie sprawy. ważniejszy, więc Telefon

"klientowi" opuścić gabinet i zaczekać w sekretariacie. Potem nastepuje telefon do sekretarki, dzisiaj nie będzie mógł przyjąć interesanta, bo ma ważne sprawy i musi wyjechać. I tak można by jedną z wielu opowieści o człowieku pracy wędrującym w towarzystwie własnego cienia szczęścia, drogą róż albo obojętności, jaką spotyka wśród ludzi zza podwójnych drzwi. Albe usłyszy nieomal ojcowskie słowa, albo dla świętego spokoju, skierowany zostanie do niższych komórek zakładowych w których gestii leży sprawa interesanta — pracownika. Droga się zwykle powtarza i od przysłowiowego Annasza do Kajfasza wędruje za meritum sprawy, aby potem wreszcie powiedzieć znów dzień dobry sekretarce i zapytać o dyrektora

Humanizacja pracy. Kształtowa-nie stosunków międzyludzkich. Szlachetne przedsięwzięcia. Godne dalszej popularyzacji, a przede wszystkim realizacji. Wcielania w życie społeczności zakładu, kolektywu, od którego zależy przede wszystkim ilość i jakość produkcji. Ale czy robotnik — podwładny pokaże negatywy stosunków władz zwierzchnich do ludzi od warsztatu i miotły? Uważam osobiście, że się mało znajdzie takich śmiałków. Uważam, że krytyka w samym zakładzie doprowadzi do pogorszenia stosunków międzyludzkich. Zwykle robotnik woli milczeć, gdyż "widmo piętna-stki albo dyscyplinarnego zwolnienia wisi nad nim niczym przysło-wiowy bicz Boży. To są trudne sprawy, wymagające dużej, obustronnej kultury i inteligencji, a szczególnie działania w imię praw-dziwego humanizmu. Nawet krytyka słuszna budzi w człowieku antystosunek i chęć porachowania się. Czy więc robotnicy będą dyskuto-wać? Może. Może — to znaczy wąt-pię. Robotnikowi, a także władzom zwierzchnim w zakładzie powinni przyjść z pomocą ludzie nie zwią-zani z zakładem. Tylko głos z ubocza może bez żadnych konsekwencji w stosunku do ludzi zakładu, wskazać na niedomagania w aparacie zarządzania zakładem. Wtedy robotnik będzie mógł uwierzyć w celowość i w sens prowadzonej hu-manizacji pracy, w kształtowanie stosunków międzyludzkich, a przez to w potrzebę usprawniania produkcji i wzbogacania zakładu. drugiej strony zastanawia mnie dyskusja samych dyrektorów, kadry kierowniczej oraż inżynieryjno-technicznej w odniesieniu do procesów humanizacji pracy. Zwykle robotnicy bronią swojej prawdy, aparat zarządzania i aparat techniczny - swojej. Będzie polemika. Umiejętnie prowadzona może doprowadzić do eksperymentu na miarę warszawskiej Wytwórni Wyrobów Plastykowych i Gumowych "Plast" lub IX Oddziału NBP

(Ciag dalszy na str. 5)



Wiesław Koszela

Jednym z bardziej interesujących debiutów ubiegłego roku był wydany nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej tomik wierszy zatytulowany "Drewno moje powszednie" Jego autor — Wiesław Koszela — publikował swoje utwory od 1958 r. m. in. na łamach "Twórczości", "Nowej Kultury", "Życia Literackiego", "Kameny", "Odry", "Współczesności" oraz innych czasopism literackich.

Ten poetycki debiut spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem krytyki. Potwierdzeniem tego była nagroda "Poetyckiej Peleryny" przyzna-wana za najlepszy debiut roku przez jury Związku Literatów Polskich, a ufundowana przez Klub Studentów Wybrzeża "Żak".

W sierpniu br. W. Koszela zdobył III nagrode na Konkursie Poetyckim w Zielonej Górze, a ostatnio jedną z trzech równorzędnych I nagród w Ogólnopolskim Konkursie na tomík wierszy, zorganizowanym przez O-polski Oddział Związku Literatów Polskich.

Laureat opolskiego konkursu jest dziennikarzem. Po ukończeniu studiów pracował w gazecie żakładowej wychodzącej w kędzierzyńskich "Azotach", a od blisko 3 lat kieruje pracą zespołu redakcyjnego gazety zakladowej "Siarka"

Spotykamy go w domu kultury — tarnobrzeskiej "Tapimie". Jest więc dobra okazja do porozmawia-

 Sukces w Opolu nie jest dla nas wielkim zaskoczeniem. Wiemy, że Twoje związki z Opolszczyzną są ciągle żywe. Czy znalazło to szersze odbicie w wyslanym na konkurs tomiku?

 Na konkurs wysłałem zbiór 32 wierszy zatytułowany "Podnoszenie słów", przy czym zdobycie czołowej nagrody było dla mnie niemałym zaskoczeniem. Tematyka konkursu ograniczona była bowiem do problematyki opolskiej, podczas gdy w wysłanym przeze mnie zbiorze zna-lazło się tylko kilkanaście "opol-skich" wierszy. Pozostałe to impre-

sje liryczne, a nawet utwory związane... z Rzeszowszczyzną. Myślę o fragmencie z "Panny Preczystej spod Rajskiego".

To już niemal szablon, ale trudno pominać pytania o plany. Jakie są Twoje dalsze zamierzenia poetyckie?

Nagrodzone na konkursie prace mają się ukazać nakładem wydaw-nictwa "Śląsk", prawdopodobnie w przyszłym roku. Niezależnie od tego przygotowuję obecnie trzeci to-mik wierszy. Trudno powiedzieć kiedy będzie "dopięty", ale naj-prawdopodobniej w połowie przy-szłego roku. Wiele wierszy wymaga jeszcze ostatecznego szlifu, sa i takie, które znajdują się... w sferze planowania. A z planami bywa różnie.

Ten trzeci tomik będzie niejako kontynuacją pierwszego. Podobna atmosfera ludowości, świątków. Ale o tym nie chciałbym mówić szerzej.

- O ile wiemy zajmujesz się również prozą. Świadczą o tym druko-wane opowiadania i ich fragmenty. Czy i w tej dziedzinie masz jakieś plany?

 Aktualnie mam od dłuższego czasu ukończoną powieść. Prace nad wydaniem wstrzymał fakt, że otrzymalem w międzyczasie od jednego z wydawnictw zaproszenie do wzię-cia udziału w konkursie na debiut prozatorski. W takiej sytuacji zdecydowałem się na konkurs, który w wypadku powodzenia daje znacznie lepsze możliwości "prozatorskiego startu".

Jesteś dziennikarzem, interesuje nas więc, czy w swojej prozie wykorzystujesz obserwacje i doświadczenia wyniesione bezpośrednio ze swojej pracy zawodowej?

- Piszę opowiadanie, którego akcja toczy się właśnie w środowisku przemysłowym. Sądząc z tego co do tej pory napisałem, rzecz rozrośnie się chyba do powieści. Skoro powiedzieliśmy o Twoich

(Cing dalszy na str. 5)

- Rozumiem. Nikomu nie pomógł, ale jeszcze nikomu nie za-

- Powiedzmy, tak. Przez swoje stanowisko, przez swoje wpły — Powiedzmy, tak. Przez swoje stanowisko, przez swoje wpły wy mógł sobie pozwolić na to, żeby w tym piekle zrobić coś dobrego dla ludzi. Uchronić kogoś od aresztowania, od rozwakti. Dać kawałek chleba. Albo świstek papieru z wroną. Ostrzec przed niebezpieczeństwem. Nie dostrzec czegoś... Nie wykorzystał żadnej szansy. Potem przyjechał jego braciszek, o którym ci zapewne mówił, bo on podczas procesu i do dnia dzisiejszego wciąż zasłania się tym braciszkiem. Więc pewnego dnia ten brat, Bazyli mu na imię, zjawił się w mundurze niemieckiego majora i odtąd zaczęło się wielkie panowanie braci Czobotów. Mniej więcej w tym czasie aresztowano mojego ojca; mnie poszukiwano jeszcze wcześniej, ale byłem dobrze zamelinowany. szukiwano jeszcze wcześniej, ale byłem dobrze zamelinowany. Wołodia Polianskij ukrył mnie na strychu ruskiej plebanii. Ja także wierzyłem jeszcze wtedy w Czobota i zdobyłem się na odwage, wszedłem do jego domu, wkradłem się przez podwórko i przez kuchnię, żeby go prosić o interwencję, o pomoc dla ojca. Wierzyłem, że mi pomoże, bo przecież nie chwalac się, to ja byłom zalianszym gormanista w simnazium Czobot uderzył mnie łem najlepszym germanistą w gimnazjum. Czobot uderzył mnie w twarz za to, że rozmawialem, to znaczy za to, że chciałem z

nim rozmawiać po polsku. Chciał, żebym z nim rozmawiał po niemiecku albo po ukraińsku, no, bo mój ojciec, jak ci zapewne wiadomo, też pochodził z Ukraińców, tylko był człowiekiem innego autoramentu niż Czobot.

Może nie powinieneś był świadczyć w tym procesie - powiedziałem. – Właśnie dlatego, że cię uderzył w twarz.

— Och, to nie była zemsta. Tyle razy bito mnie po twarzy. Nie, tu nie chodziło o mnie, ani o bicie po pysku. Chodziło o prawo. Mógłbym z tobą pójść do archiwum sadowego, nie wiem gdzie to teraz leży, tutaj czy w Rzeszowie, mógłbym ci pokazać cały jego upadek. Wszystkie dowody.

Niczego już nie chcę. Chce już wyjechać. Mam teraz po

— Jeszcze zaczekaj! — zatrzymał mnie Dionizy, chwycił mnie za rękę, jego długie kościste palce wpiły się boleśnie w mój nadgarstek, aż mnie zabolało.

— To nie ja byłem koronnym świadkiem oskarżenia. Ja tyl-ko pomagałem ten proces przygotować. Brałem udział w śledz-twie. Sciagałem świadków. Nie myśl, że to było takie proste.



Świadkowie byli zastraszeni, bo choć profesor siedział już za kratkami, jego brat Bazyli jeszcze rozbijał się po okolicy na czele oddziału zmontowanego z esesmanów i nacjonalistów ukraińskich. Wszyscy się go bali. Ataman Bazyli mordował kogo chciał i był nieuchwytny. Nie było nocy bez pożaru w okolicy. Ale odbić braciszka już nie mógł, bo więzienie było jak cy. Ale odbie braciszka juz nie mogi, po więzienie było jak twierdza. To cholerne stare sanacyjne więzienie, zbudowane jeszcze w austriackich czasach. Ja w nim kiblowałem trzy lata. Tak to było. W czterdziestym szóstym roku przyjechał z wojska Hubert, pamiętasz Huberta? Otóż jego ojciec został powieszony na rynku za to, że zapomniał raz przyszpilić gwiazdę na ramieniu. Może nie zapomniał, może po prostu nie chciał jej nosić; to był dopiero początek okupacji, niektórzy ludzie jej nosić; to był dopiero początek okupacji, niektórzy ludzie mieli jeszcze dużo hartu w sobie. Matka Huberta też ludziła się, że Czobot coś zrobi. To była inteligentka, może nawet intelektualistka w takim prowincjonalnym wydaniu, chociaż jej maż był tylko kupcem drzewnym. Piękna kobieta była; na pewno nie jeden raz przed wojną dyskutowała z Czobotem o filozofii Nietzscheańskiej, o poezji Leopardiego, albo o sztukach Witkiewicza. Poszła do Czobota, a on kazał ją wyrzucić. Nazajutrz po egzekucji męża, wywieziono ją do Zasławia, do tego lasku, gdzie zbierano na rozwalkę Żydów i Cyganów. Więc kiedy Hubert w randze kapitana wrócił i dowiedział się o tym wszyskim, poprosił żeby mu powierzyli szefostwo bez-pieki na powiat. To było mniej więcej w tym czasie, kiedy banda Bazylego zamordowała poprzedniego szefa Urzędu Bezpie-czeństwa, Tośka Zegarowskiego.

Przymknałem oczy, żeby wydobyć z pamięci twarzyczkę chłopca, który pisywał sentymentalne wiersze i był uosobieniem delikatności. Był marzycielski i subtelny, kruchy. Nie mogłem go sobie wyobrazić w wojskowym mundurze i to w tak

— Szefem bezpieki został więc Hubert i on zajał się śledztwem, pracował nad tym gorliwie, z całego serca, no i nad innymi sprawami, przeszło rok pracował jak koń, cierpliwie i nieustraszenie, bo nie tylko w biurze pracował i w koszarach, ale i w lesie trzeba było staczać walki z bandą Bazylego i z innymi bandami. Zubryd też w tym powiecie szalał... No, ale za dużo tego opowiadania by było na jeden raz. Powiem ci tylko co się z Hubertem stało. To on bardzo poważnie przyczynił się do rozbicia bandy Żubryda, miał w tej bandzie kolegów z dzieciństwa, porozumiał się z nimi, rozsadził te bande od wewnatrz. ciństwa, porozumiał się z nimi, rozsadził te bandzie kolegow z dziec ciństwa, porozumiał się z nimi, rozsadził te bandę od wewnątrz. Potem doczekał się procesu Czobota i po ogłoszeniu wyroku powiedział, że teraz ma już mniej więcej załatwione te naj-ważniejsze sprawy; pojechał do Wrocławia i w hotelu "Mono-pol" strzelił sobie w łeb. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego musiał po to jechać aż do Wrocławia.

Tam jest piękny cmentarz – powiedziałem prawie bez-myślnie – Lassale tam jest pochowany. Ten z Komuny Parys-

Dylematy wydawnicze

(Dokończenie ze str. 1)

dach na wzór istniejących na Zachodzie "pocket-booków" czy "livres de poche". Książka taka, produkowana szybko, na nowocze-snych maszynach rotacyjnych, przyciągająca oko swą kolorową, estetyczną foliowaną okładką, musi wychodzić naprzeciw czytelnikom, nie czekać na klienta w księgarni, lecz atakować go na ulicy, na dwor-cu, w sklepach samoobsługowych itp.

Przygotowania do produkcji pol-skich "kieszonkowców" (warto chy-ba ogłosić konkurs na inną nazwę, która by nie kojarzyła się ze złodziejską profesją!) są już zaawan-sowane, obecnie bada się szczegó-łowo możliwości przemysłu poligraficznego i różne sprawy techniczne Można oczekiwać, że pierwsze pol-skie książki kieszonkowe pojawią się na rynku za rok. Wzorem innych krajów wydawcy polscy zamierzają produkować w tej formie nie tylko beletrystykę, ale także literaturę pularnonaukową, słowniki, poradniki itd. — słowem wszystkie rodzaje książek zasługu-jących na masowe upowszechnie-

ADAM OSTROWSKI

Rozmowy twórcami

(Ciag dalszy ze str. 4)

dotychczasowych pracach i zamierzeniach przejdźmy do innego tematu. Czy Twój przyjazd w Rze-

szowskie był przypadkowy? Decydująca była siarka. Praca w kombinacie znajdującym się w stałej rozbudowie, jest niewyczerpanym wręcz źródłem tematów, pro-blemów, konfliktów, zjawisk. Dużo daje bezpośrednie zetknięcie z ludźmi w ich pracy, codzienna obserwacja.

Poza tym interesowało mnie Rzeszowskie, jeden chyba z najbardziej interesujących regionów Polski. Próbą spojrzenia na tragedię Biesz-czadów jest właśnie "Panna Preczy-sta spod Rajskiego", dłuższy wiersz, poemat prawie, którego omówienie znacznie przekroczyłoby ramy tej rozmowy.

 Jeszcze jedno pytanie, Czy atmosfera malego bądź co bądź miasta, jakim jest Tarnobrzeg nie niekorzystnie na Twoją twórczość?

 Nie jest chyba ważne, się pisze, ale co się pisze. wielu znajomych, którym w pisaniu niewiele pomogło wieloletnie przebywanie w miastach wojewódzkich czy stolicy.

> Rozmawiał: Z. FLASZA Zdjęcie: M. KOPEĆ



"Nad Donem się urodziłem mówi o sobie Michał Szołochow. Mieszkałem w rejonie stanicy Wieszeńskiej, gdzie rozgrywały się wydarzenia mojej książ ki i teraz tam mieszkam. Nas niepodobna rozdzielić".

Gdy pisarz pochyla się nad biurkiem, gdy pracuje w kręgu lampy, za oknem pluszcze Don. Cichy, rozlewny. Rzeka od dzieciństwa znajoma, zapamiętana w łunie wojennych pożarów i w ciszy spokojnych lat, poznana w

niezliczonych wędkarskich wycieczkach.

Bliska jak przyjaciele ze stanicy, z pobliskich kolchozów. Mila sercu, jak towarzysze myśliwskich wypraw, mądre psy.

Michał Szołochow, laureat Nagrody Nobla, tu wraca naj-chętniej. Z wielkich miast, z zagranicznych podróży, z przyjęcia na królewskim dworze.

Do siebie, do swoich. "Nas niepodobna rozdzielić"...





Człowiek na pierwszym miejscu

(Ciag dalszy ze str. 4)

w Warszawie. Zepchnięta z linii prawidłowości przez zbyt rozpalone temperamenty zaostrzy stosunki, a humanizacja pracy będzie tylko utopią albo złudzeniem bez wiary w ewentualną odnowę sprawy. Sukcesem będzie dwustronna dyskusja robotników i aparatu zarządzania. Milczenie jednej ze stron postawi przed problemem duży znak zapytania. A pytanie bez odpowiedzi — to po prostu milczenie, które zaprzepaścić może podjętą inicjatywę szukania w pracy przyjemności, żadowolenia, a nawet wyżycia, dopełniającego radość życia w ogóle.

Ten mój "głos z ubocza" traktuję nader poważnie. Nie próbuję buja-nia w obłokach, a raczej pragnę zasygnalizować niektóre sprawy pod-słuchane w towarzystwie ludzi pra-cy jadących bądź wracających z za-kładu. Stosunki międzyludzkie są wtedy szczególnie komentowane. Na pewno w tych pozakulisowych rozmowach jest wiele błędnych in-

terpretacji procesów i zjawisk występujących w tym lub innym za-kładzie. A teraz inna sprawa. Zakład a środowisko.

Istnieje niewątpliwa potrzeba kształcenia załóg. Tematy z socjo-logii, psychologii oraz kultury pra-cy i współżycia muszą być koniecy i wspotzycia muszą być konie-cznie wplecione w tematykę zajęć na kursach zawodowych, muszą być umiejętnie podawane przez wy-kładowców. Kształcenie z zagad-nień humanizacji pracy i stosun-ków międzyludzkich powinno objąć nie tylko robotników, ale także pracowników umysłowych, kadrę inżynieryjno-techniczną oraz osoby awansowane do "stopnia" dyrekto-ra, a także personalnych z wyjątkiem wentylatora, bo jak uksztal-tują się należyte stosunki między-ludzkie – to i BHP zainstaluje wentylator najwyższej jakości, który oczyści powietrze nie tylko z wyziewów maszyn, ale także i lu-dzi zatruwających atmosferę nieod-powiednim stosunkiem do pracy i własności społecznej.

EDWARD ZOLOWSKI

— Był tu przed wojną prezes Sądu Powiatowego — ciągnął dalej Dionizy — Niejaki Friedel, nie wiem czy pamiętasz. Straszna świnia. To on wlepił mi te trzy lata w trzydziestym szóstym

roku.

Pamiętam Friedla. Był rudy, miał semicką twarz, ale Żydem już nie był, był neofitą, dzięki temu uzyskał nominację na prezesa sądu. Mieszkał za miastem, w ładnej willi przy tej drodze, którą w letnie, sobotnie popołudnie Żydzi chadzali na spacer. Synek Friedla zaczajał się zazwyczaj za wegłem domu i obrzucał Żydów kamieniami.

— Synek tego Friedla też był uczniem Czobota. Kiedy gestapowcy przypomnieli sobie o żydowskim pochodzeniu Friedlów i przyszli ich aresztować, ten mały pobiegł do profesora, Czobot kazał mu zaczekać, wszedł do drugiego pokoju i zadzwonił po gestapo. Przyszli i zabrali chłopaka.

gestapo. Przyszli i zabrali chłopaka.

— Coś mi się tu nie zgadza — powiedziałem — Nikt nie ży-je, a ty wszystko o nich wiesz? Przecież Friedel zginął i ten synek też zginął.

— Żyje służąca Czobota. Powinieneś ją pamiętać. Paraška. Wychowała się na ruskiej plebanii i była kochanką Wołodi Polianskiego, księdzowego syna. Potem została gospodynią u profesora, i o wszystkim informowała Wołodie.

- A Wołodia? - zapytałem - Powiedz mi coś o nim.

— Mamy mu dużo do zawdzięczenia. Ja i wielu innych ludzi w tym miasteczku. Po wojnie wyleczył się z grużlicy, ale nie wyleczył się ze swoich szaleństw. Pije. Całą gorzelnie potrafi

No, to już wiedziałem wszystko. Za godzine miałem pociąg do Rzeszowa, śpieszyło mi się, ale nie mogłem się przemóc, jesz-cze nie chciało mi się odchodzić, bałem się tego pożegnania z Dionizym, nie chciałem, żeby było banalne i nie chciałem roz-

O wszystkim już mówiliśmy – powiedziałem – Ale nie mówiliśmy o tobie. Żle wyglądasz. I to biuro masz marne. Wciąż żyjesz samotnie; widać, że obchodzisz się bez kobiet.

Biuro mi wystarcza takie jak jest — powiedział zmęczonym głosem, i spuścił oczy, jakby się wstydził tego co chciał mi te-raz powiedziec.

Już nie jestem młody, serce mi nawala, nasze pokolenie kruszy się, odchodzimy. Już nie warto zadawać się z kobietami.
 Zresztę ktoś przecie powinien dochować w'erności.
 Już nam się teraz rozmowa nie kleiła. Myślałem o jednej ży-

Już nam się teraz rozmowa nie kleiła. Myslatem o jednej żydowskiej dziewczynie, która zginęla w Oświęcimiu, czy w Majdanku. Dionizy kochał ja kiedyś do szaleństwa. Czy to jej postanowił dochować wierności? Jej pamięci?

— Odprowadzisz mnie na dworzec? — zapytałem.
Wyszliśmy na ulicę. Ogarnęto mnie jesienne stońce, zapach liści opadających z drzew, bo w tym Miasteczku wzdłuż centralnej ulicy wciąż jeszcze rosną wysokie i rozłożyste drzewa.

Szliśmy powoli koło parku, obok szkoły; jakiś mały chłopiec z tornistrem na plecach zapytał nas która godzina; potem minę-liśmy gimnazjum w głębi olbrzymiego podwórka, na którym chłopcy grali w piłkę. Z daleka czerniał grzbiet Międzygórza, blała cerkiewka stała tam na urwistym, niemal prostopadłym brzegu Sanu.

- Podziwiam cię — powiedziałem do Dionizego — Podziwiam,

 Podziwiam cię – powiedziatem do Dionizego – Podziwiam, że możesz na to wszystko patrzeć i nie oszaleć.
 To jest całe moje życie. – odparł cicho Dionizy – Ale ty może wszystkiego nie widzisz. Oprócz starej cerkwi są tu jeszcze inne rzeczy, nowsze. Dlaczego na nie nie patrzysz? Tam, na lewo od cerkiewki.

Na lewo od cerkiewki istotnie tkwił w krajobrazie nowy Na lewo od cerkiewki istotnie tkwił w krajobrazie nowy most przez rzekę, a dalej bielały sześciany jakichś zabudowań. Wy-soki komin fabryczny, nad którym unosił się warkocz dymu. Prawda, tego tu przedtem nie było. Może rzeczywiście powi-nieniem tu kiedyś przyjechać i przypatrzeć się temu nowemu obliczu Miasteczka.

Jak się masz, Dionizy? - odezwał się tuż obok kobiecy

Minęła nas niewiasta już niemłoda, w naszym wieku, może nawet trochę od nas starsza. Była siwa i brzydka, korpulentna; w jej sposobie poruszania się, w jej ruchach, a przede wszyw jej sposobie poruszania się, w jej ruchach, a przede wszystkim w jej twarzy, na którą przez chwile patrzałem, uderzyło mnie coś znajomego — wrażenie jakiejś odległej, przymglonej zapomnieniem — znajomości.

- Kto to jest? - zapytałem - Nie mogę sobie przypomnieć. Znaleś ja, kiedy była młoda i piękna. To córka karczmarza z Olchówki. Rojza. Teraz nazywa się Maria. Ksiądz Mikusiewicz ją ocalił, a ona z wdzięczności przeszła jak to się mówi, na lono kościoła. Okropna dewotka. Jest gospodynią proboszcza i polykują się Czylotow.

i opiekuje się Czobotem.

- Ona? Czobotem? — Onar Czobotem? — Ja też się początkowo dziwiłem, ale zdaje mi się, że zro-zumiałem. Powiedziała mi, że ksiądz Mikusiewicz nauczył ja miłować wrogów. Chrystus też miłował. Wzięła to sobie do ser-ca i stara się, żeby Czobot nie zdechł przedwcześnie. Myślę, że // coś w tym jest. Zdaje się, że nikt inny nie mógłby się nim za-jąć. Albo ona, albo nikt. Nie wiem co ona przy tym czuje. To dosyć prosta kobieta, prosta natura. Ale może ona właśnie przy nim doznaje uczucia własnej wielkości? Kto to wie? A może przychodzi i do niego codziennie, żeby uradować swoje oczy jego kleska?

To już są hipotezy psychologiczno-literackie — powiedzialem z powątpiewaniem — Wiesz? Kiedy idę z tobą przez miasto, coś we mnie zastyga, obumiera. Nie mogę pogodzić się z myślą, że z dziesięciu tysięcy żydów pozostała tutaj jedna Rojza, gospodyni od proboszcza.
Jest jeszcze jedna, żona Klaudiusza — objaśnił Dionizy.
Kto to jest Klaudiusz? Nie pamiętam go.

Poznasz go, jeśli jeszcze kiedy przyjedziesz. To bardzo cie-kawy człowiek.
 Nie wiem, czy jeszcze kiedy przyjadę... — pomyślalem ze

- Klaudiusz był zakonnikiem u franciszkanów i wtedy oczy-Klaudiusz był zakonnikiem u franciszkanów i wtedy oczywiście, ja też go nie znałem. Pewnego dnia dowiedział się o tej egzekucji Cyganów i Żydów w Zasławiu. W ciągu jednego przedpołudnia wymordowano tam tysiące ludzi. Jedni twierdza, że pięć tysięcy, inni, że piętnaście. Zakopano ich i przykryto ten ogromny grób darnią. Pochowano zabitych i rannych, którzy jeszcze żyli. Podobno warstwa ziemi nad tym wspólnym grobem poruszała się jakiś czas, przez ileś tam minut to wyglądało jak trzesienie ziemi. Krew wypływała na wierzeh i trawa wyzladała potem jak zardzewiała. Klaudiusz wierzch i trawa wyglądała potem jak zardzewiała. Klaudiusz wyszedł w tym dniu z klasztoru i spacerkiem poszedł to zoba-czyć. Więcej już do klasztoru nie wrócił. Uciekł do lasu, przyczyć. Więcej już do klasztoru nie wrócił. Ucieki do lasu, przyłączył się do partyzantki. Był tam takim leśnym kapelanem. Po wojnie wrócił, dowiedział się, że w Mrzygłodzie pozostała przy życiu jedna żydowska dziewczyna. Zrzucił habit i podrałował te trzy mile do Mrzygłoda, ożenił się z ta Żydówką i mieszkają tu. Przyjąłem go do pracy u siebie; jeżdzi po wsiach i wygłasza pogadanki oświatowe.

— Chciałbym zdążyć na pociąg — powiedziałem.

Przyspieszyliśmy kroku, ale wnet znowu zwolniłem, bo Dionizy oddychał ciężko, sapał i przybladł, widziałem, że jest zmęczony i zrobiło mi się przykro.

czony i zrobiło mi się przykro. Na dworcu okazało się, że pośpiech nie był konieczny, mia-łem jeszcze jakiś kwadrans do odejścia pociągu. Weszliśmy do bufetu, chciałem się czegoś napić. Przed szynkwasem był ścisk, siwy wysoki człowiek o długich włosach i glęboko zapad-niętych oczach, stawiał swoim przyjaciołom baterię kufli z piwem. Wszyscy już byli trochę wstawieni, nie wyłączając fun-

— Poznajesz go? — zapytał Dionizy. To był Wołodia. Zapoznany poeta i marzyciel. Syn ruskiego

— Chcesz z nim pogadać?
— Nie, nie chcę. On nie jest trzeźwy... Może jednak pewnego dnia zdecyduję się i znowu przyjadę, wtedy z nim pogadam. Jest

bardzo podobny do swego ojca.
— Stary ksiądz Polianski miał poczucie humoru, Przed śmier-- Stary ksiądz Polianski miai poczucie numoru, Frzed smier-cią zawołał do siebie syna, pobłogosławił go przepisowo i po-wiedział: Synu, przes...liśmy naszą parafię. I wyzionął ducha. Dzwonek na ścianie budynku stacyjnego zaterkotał, potem blisko za górką dało się słyszeć dudnienie i świst lokomotywy.

- Do widzenia, kochany. Pożegnaliśmy się krótko, tak jakbym tu jutro znowu miał przyjechać. Zresztą, kto wie, może rzeczywiście przyjadę.

KONIEC

na wprost

A jednak się porusza

Nie, nie jest jeszcze tak źle-jeszcze nie wszystkich opanowała znieczulica społeczna, bierność i biuro-kratyczna bezduszność. Można znabierność i biuroleźć sporo ludzi wrażliwych na objawy rozkładu moralnego w spoleczeństwie i wykazujących dużo chęci, zapału i pomysłowości w walce z nimi. Akcja wychowawcza zatacza coraz szersze kręgi. Włącza-ją się nawet do niej instytucje, zaczy jednostki skądinąd niewiele wspólnego mające z pedago-giką. Włączają się, trzeba to przy-znać w sposób nieszablonowy, wręcz nowatorski i w najmniej ba-nalnych okolicznościach. Np. Wy-dział Kwaterunkowy MRN nie ogranicza się do przydzielania ludziom mieszkań, lecz także w trosce o dobro rodzin kojarzy z powrotem rozwiedzione małżeństwa. Czyni to (tak było ostatnio w Rzeszowie) właściwymi dla tego urzędu metodami wychowawczymi. Rozwiedzione od dawna małżeństwo mieszkało z konieczności we wspólnym domu przeznaczonym do rozbiórki. Gdy dom rozebrano byte malżeństwo otrzymało w nowym budownictwie znów wspólne mieszkanie. W wybudownictwie działe kwaterunkowym poparto tę decyzję takim argumentem: — "Cóż stąd, że rozwiedzeni: Gdy nie będą stą, że rozwieczeni. Gay nie ogaą mieli innego wyjścia, na pewno się kiedyś znów połączą". Ta godna podziwu troska o nierozerwalność związku małżeńskiego ze strony władz miejskich nie powinna pozostać niezauważona. Należatoby odciążyć sądy od spraw rozwodowych i przekazać je wspomnianej instytu-cji — nie dochodziłoby wtedy do rozkładu życia rodzinnego w mieś-

Nieco na peryferiach spraw wy-chowawczych stojąca dotąd rzeszow-ska gastronomia również może się poszczycić oryginalną metodą dy-daktyczną w podległych jej rzeszowskich kawiarniach. Zlikwidowano mianomicie w "Pstryczku" i w innych tego typu lokalach zasłony
okcienne Pomysł znakomity. Przedtem, by wiedzieć kto jest w kawiarnt z kim i co popija trzeba byto wejść do wnętrza i rozglądnąć się. Obecnie wszystko jak na dloni widać z ulicy. Jeżeli przyjmiemy, że spotkania w kawiarniach mają na ogót charakter prywatny, decyzja ta ogłasza w Bzeszowie jawność życia prywatnego. Odtąd bez przeszkód mogą kontrolować zazdrosne żony mężów, zwierzchnicy podwiadnych, milicja podejrzanych, a plotkarki są-siadów. Czy to nie kładzie kresu wszelkiej kawiarnianej rozpuście?

Może się ktoś zdziwić, że właśnie taki środek zastosowano dla przeciwdziałania miazmatom życia kawiarnianego. Można przecież było przedtem spróbować wobec klientów zastosować perswazje kierownika lokalu i obsługi, czy społecznych komisji kontrolujących młodocianych. Ale zdjęcie zasłon jest skuteczniejsze i poza tym w naszym kraju dotad nie praktykowane.

Ogromną troską o moralność i wy-chowanie młodzieży wykazał pewny szacowny związek hobbystów. Odbyła się na ten temat gorąca dysku-sja na oficjalnym spotkaniu, zorganizowanym po wystawie zbiorów klubu, koła, okręgu (nazwa nieważ-na) tychże hobbystów. W dyskusji naj tychze hototystow. W dyskusti ubolewano nad tym, że młodzież szkolna została wyrwana spod opieki związku zbieraczy. Stwierdzono, że kolekcjonerstwo u młodzieży przeciwdziała chuligaństwu, próżniactwu i rozkładowi moralnemu a przede wszystkim pijaństwu. (Dyskutujący zbieracze sami szukali często na-tchnienia do przemówień w kieliszku). Wnioski ze spotkania były kategoryczne – tylko zorganizowane i podporządkowane związkowi hobbystów zbieractwo u młodzieży szkolnej będzie skutecznym środkiem wychowawczym.

Jeszcze inni wychowawcy z ama-Jeszcze umu wychowawcy z amatorstwa i z wewnętrznego powołania — zwalczają amatorskie zespoły big-beatu wśród młodzieży, bo z nich płynie rozwydrzenie i rozwiązłość obyczajów, rzucają gromy na film i literaturę, bo niemoralne, tępią zaciekle bitelsowskie fryzury u młodzieży, "bo kto to widział", ale i posługują się raczei środkami wyciasty. ci poslugują się raczej środkami wychowawczymi i argumentami banalnymi.

Natomiast dość interesujący sposób oddziaływania wychowawczego wymyślono w przychodni zdrowia przy ul. Obrońców Stalingradu. Wywieszono tam w pokoju rejestracji chorych bardzo sugestywne, mocno pedagogizujące i precyzyjne w swej konkretności hasła-cytaty: "Grzeczność wszystkim należy" (A. Mickiewicz) oraz "Wspaniały jest człowiek, kiedy jest człowiekiem" (H. Biegański). Dzięki temu wszyscy chorzy wiedzą już o co chodzi i stają się moralnie zdrowsi.

Niechże więc malkontenci nie utyskują na stagnację i obojętność społeczeństwa wobec problemów wy-chowawczych. Należałoby wykrzyknąć z entuzjazmem cytat z Galileusza: "A jednak się porusza"... Tylko czy we właściwym kierunku?"



MIECZYSŁAW OLSZEWSKI - długoletni pracownik Domu Książki w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Odpowiedzi redakcji

STALOWA WOLA: Wiersze dość zręczne i kulturalne, ale równocześnie dość banalne. Brak oryginalności i odkrywczości, brak wewnętrznego wzruszenia i pasji. Posługuje się Pan dość często stereotypami językowymi, zwrotami, które często w poezji używane zatraciły już świeżość i barwę, jak np. kwiaty przysypane pyłem czasu, książka stara jak świat, blady świt, daleki jak wspomnienie itd. Nie skorzystamy.

F. D. — Nadeslane nam utwory są jeszcze bardzo naiwne i nieporadne. Chyba niewiele ma Pan jeszcze do powiedzenia o świecie, szczególnie do powiedzenia o nim w poezji — to wyraźnie widać z tych wierszy. Na razie usiłuje Pan budować klimaty i nastroiki z oderwanych pojęć i obrazów, ale nie wiadomo czemu one mają służyć.

"JADŽKA Z TARNOBRZEGA". -Niestety, musimy sparafrazować fragment jednego z Pani utworów: "To są złe wiersze i basta". Szkoda się łudzić. Nadają się tylko do prze-ZOIL czytania w kręgu dobrych i wyrozumiałych znajomych dla wprowadzenia wesołego nastroju.

"DŁUGI" KROSNO: . inne poglądy na "nową falę w poezji", jak Pan to nazywa, a my in-ne. Istotnie, jak słusznie Pan zauważył trzeba się trochę na tych sprawach znać i odbioru poezji trzeba się uczyć, tak jak uczymy się odbioru muzyki poważnej. To naprawdę nie nasza wina, że Pan współczesnej poezji nie rozumie. Różnimy się także w ocenie pań-skich wierszy. Pan je chyba ceni, skoro je wysłał do redakcji, my nie widzimy w nich żadnych wartości poetyckich.

J. P. - STALOWA WOLA, M. M. DOBRZECHÓW: - To nie poezja -

nie skorzystamy. E. S. — STALOWA WOLA: Pyta Pan czy pański wiersz można ofiarować komuś bliskiemu i czy posiada jakieś wartości. Nie jest on na pewno dziełem sztuki poetyckiej, ale bliskiej osobie sprawi du-zo przyjemności. Jako bezpretensjonalny komplement czy madrygał jest dość zręczny, kulturalny i na-pisany z pewnym polotem.

zdarzenia tygodnia

W województwie rzeszowskim prze-bywał w ramach wymiany kulturalnej austriacki regionalny zespół pieśni i tańca z Hartbergu.
Goście wystąpili w Lubaczowie, Rze-sowie, Mielcu, Brzozowie i Sanoku, prezentując mieszkańcom tych miejsco-wości tańce i melodie tyrolskie. W re-wanżu, do Austrii wyjedzie zespół re-gionalny Wojewódzkiego Domu Kultu-ry w Rzeszowie.

30 grudnia ubr. odbyło się posiedzenie Komisji Kultury WKZZ z udziałem instruktorów k.o. zsrządów okręgowych związków zawodowych. Podczas narady omówlono najważniejsze zagadnienia z dziedziny oświaty i kultury na rok 1968 oraz założenia i przygotowania organizacyjne do ogólnozwiązkowego festiwalu kulturalnego, który odbędzie się w latach 1966/87. Obejmie on wszystkie formy działalności artystycznej i kulturalno-oświatowej (przeglądy środowiskowe, wojewódzkie i centralny). Na posjedzeniu powołano komitet organizacyjny festiwalu, którego przewodniczącym został sekretarz WKZZ mgr Jóżef Wożniak, a sekretarzem znany działacz amatorskiego ruchu teatralnego — Wiktor Nowicki.

Z dniem 1 stycznia br. Prezydium WRN w Rzeszowie powołało na mocy specjalnej uchwały Biuro Dokumentacji Zabytków.

Do zadań tej placówki będzie należało prowadzenie ewidencji, przechowywanie, dostarczanie danych dotyczących zabytków woj. rzeszowskiego oraz prowadzenie badań naukowych.

Podkreślić tu wypada znaczenie powołania tego rodzaju placówki jak również to, że jest to pierwsza tego rodzaju inicjatywa w kraju.

Ostatnio odbyło się w Rzeszowie jednodniowe seminarium dla przewodniczących komisji kulturalno-oświatowych zarządów okręgowych zw. zaw. i rad zakładowych oraz przewodniczących rad społecznych związkowych domów kultury, klubów fabrycznych i świetlic. Podczas seminarium omówiono wojewódzki program obchodów roku jubileuszowego Tysiąclecia Państwa Polskiego, formy i metody realizacji programu ogólnozwiązkowego festiwalu kulturalnego oraz funkcję komisji kulturalno-oświatowych przy ogniwach związ kowych i rad społecznych związkowych placówek k.o.

W ubległy piątek w sali Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie odbyła się premiera sztuki najsławniejszego greckiego komediopisarza Arystofanesa – "Chmury".

Tę antyczną komedię wystawit młodzieżowy zespół teatralny ZDK w opracowaniu reżyserskim i scenograficznym Aleksandra Małyka.

Przedsięwzięcie naprawdę ryzykowne!

W dniu 5 stycznia odbyło się w Rze-zzowie seminarium kierowników zespo-żów teatralnych, działających przy o-chotniczych strażach pożarnych woj. rzeszowskiego.

Było ono poświęcone omówieniu u-działu amatorskiego ruchu teatralnego w obchodach Tysiąciecia Państwa Pol-skiego.

29 grudnia ubr. odbyło się plenum Zarządu Okręgowego Zw. Zaw. Pracowników Rolnych w Rzeszowie, poświęcone omówieniu zadań rad zakladowych i samorządu robotniczego przedsiębiorstw rolnych w zakresie rozwoju zakolenia zawodowego i ogólnego pracowników w przysziej 5-latce.

W województwie rzeszowskim prze-bywał zespół wokalno-estradowy "Krystynki", działający przy Koszaliń-skim Towarzystwie Muzycznym. Zespół przybył na zaproszenie WDK i do s stycznia prezentował mieszkańcom miast i osiedli woj. rzeszowskiego program za-tytułowany "Rewia współczesnych ryt-mów".

Wystawa poplenerowa plastyków amatorów woj. rzeszowskiego eksponowana ostatnio w Wojewódzkim Domu Kultury cieszyła się dużym zainteresowaniem zwiedzających. Jeszcze w tym miesiącu będzie ona eksponowana w Sandomierzu (miejsce pleneru), a następnie w WDK w Kielcach.

"Plosenka jest dobra na wszystko" —
to tytuł koncertu muzyki popularnorozrywkowej, zorganizowanego przez
Państwową Orkiestre Symfoniczną w
Rzeszowie. Z orkiestrą występują soliści: Danuta Rinn i Bogdan Czyżewski —
piosenki. Konferansjerkę prowadzi popularny Antoni Jaksztas. Orkiestrą
symfoniczną, tym razem w wydaniu
rozrywkowym, dyryguje Janusz Ambros.

Pierwszy koncert odbył się w Rze-szowie w piątek, dziś, tj. w sobotę, powtórzenie dla uczniów rzestow-skich szkół. W niedzielę koncert odbę-dzie się w Pustkowie, a w poniedzia-łek w Mielcu.

Stacja Naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Muzeum w Przemyślu zorganizowały w dniu 29 grudnia ubr. konferencje regionalną. Była ona poświęcona pracy naukowej na prowincji ze szczegółowym uwzględniem spraw związanych z opracowaniem monografii miast i wsi.

Nowe polskie filmy w realizacji

"Kochankowie z Marony" - na ekranie

Kiedy przed kilku laty przeczytałem po raz pierwszy "Kochanków z Marony" — mówi reż. Jerzy Za-rzycki — pomyślałem: jaka szkoda, ta świetna proza jest tak niefilmowa... Westchnienie to powracało przy każdej kolejnej lekturze aż prawem reakcji przekształciło się w pytanie — czy rzeczywiście niefilmo-

Potem już sam, a następnie we współpracy z autorem, zacząłem po-szukiwać formuły, która by umożli-

wiła oddanie nie tyle treści co inte lektualnej zawartości utworu. Jak stwierdza reż. Zarzycki, scenariusz jest wierny literackiemu pierwowzorowi, wprowadzono jedynie niewielkie skróty. — "Gdybym miał szukać wśród znanych dzieł analogii do tego, co chciałbym zrobić — wskazał-bym na "Moderato cantabile" Brooka — mówi reżyser. Jest tam również iwaszkiewiczowski klimat wielkich napięć uczuciowych, kontrastujących z pozornie statyczną

Długo trwały poszukiwania miejsca zdjęć plenerowych. Znaleziono

wreszcie odpowiednią miejscowość nad Jeziorem Rożnowskim. Operatorem jest Kazimierz Konrad, autorem oprawy muzycznej Tadeusz Baird, w rolach głównych wystąpią: Barbara Horawianka, Andrzej Antkowiak, Jan Świderski, Władysław Hańcza i Józef Łotysz. Film gotów będzie wiosną przyszłego roku. "Marysia i Napoleon"

Trzecim po "Krzyżakach" i "Faraonie" polskim filmem barwnym, nakręcanym na taśmie "Eastmancolor" — będzie komedia Leonarda Buczkowskiego "Marysia i Napoleon" — żart historyczny z współczesną "ramą", osnuty na głośnym romansie pani Walausckiej i Casara mansie pani Walewskiej i Cesarza Francuzów. Scenariusz, napisany wspólnie przez Andrzeja Jareckiego i reżysera, oparty jest na popularnej komedii granej z powodzeniem w jednym z warszawskich teatrów.

Uczony francuski. Napoleon Bé ranger, przyjeżdża do Polski na zjazd naukowy i trafia do pałacu w Walewicach. Ogląda muzeum pamiątek z epoki napoleońskiej. W pewnej chwili akcja przenosi się w przeszłość. Młoda Polka, Marysia, staje się szambelanową Walewską, dyrektor Państwowej Stadniny Kori - szambelanem, a naukowiec — cesarzem... W rolach państwa Walewskich ujrzymy Beatę Tyszkiewicz i Jana Łuszczewskiego, Napoleonem będzie Gustaw Holoubek. Obsada aż błyszczy od znanych nazwisk. Obok wspomnianej już trójki, ujrzymy na ekranie Ewę Berger-Jankowską (markiza de Vauban), Haline Kossobudzką (księżna Jabłonowska), Ewę Krasnodębską (Anetka Potocka), Annę Ciepielewską (pokojówka) Bratem Walewskiej będzie Wieńczysław Gliński, księciem Józefem Poniatowskim - Zdzisław Maklakiewicz, Marszałkiem Duroc'em – Ignacy Machowski, Talleyrandem – Kazimierz Rudzki, Constantem – Gustaw Lutkiewicz, Wybickim — Henryk Szletyński, Małachowskim - Władysław Krasnowiecki, a ka-merdynerem Walewskiego - Bogu-

Studencki flirt z Melpomeną

iczbą mogą pochwalić się akademickie środowiska kraju – przystąpiło do pracy w nowym ro-ku studiów. Na liczbę te składają się sceny dramatyczne, teatry satyry, estrady, poezji i piosenki, sceny pantomimy, kabarety. Są tu również teatry eksperymentalne, poszukujące syntezy słowa, muzyki i plastyki.

Rok bieżący przynosi dalsze - zgodne z zamierzeniami mecenasa tego ruchu Zrzeszenia Studentów Polskich wszystkich równomierne rozwijanie form teatralnych, okrzepniecie zespo-łów młodych, zaangażowanie studenckiego teatru w aktualną problematykę społeczną, polityczną, kulturalną.

Wśród licznych studenckich zespolów teatralnych wyróżniają się sceny Są to podejmowane zarówno adaptacie klasyki teatralnei tekstów literackich, jak i inscenizacje tekstów najmłodszych poetów i prodebiutantow. Przykładem współdziałania z grupą literacką mo-że być scena dramatyczna warszaw-skiego klubu studenckiego "ilybry-dy", która współpracuje obecnie z literatami i poetami grupy "Współcze-sności". Najbliższa premiera tego teatru — to dwie jednoaktówki: Mi-chała Toneckiego "Piąty do brydża" i Janusza Krasińskiego "Śmierć na ra-ty". W najbliższych planach: insceni-zacja tekstów dramatycznych Irene-

hrabiego Cagliostro". Inscenizację tej ostatniej sztuki plamuje również inny warszawski teatr studencki – dzia-lający na Uniwersytecie Warszaw-skim – "Sigma". Oprócz "Zwierząt" nający na Uniwersytecie warszawskim — "Sigma". Oprócz "Zwierząt" zobaczymy tutaj również program potycki Jerzego Harasymowicza "Lis". Operujący ciekawymi formami własnych adaptacji, mający 7-letnie do-

świadczenie uniwersytecki teatr prób "Centon" z Łodzi, który obecnie pre-zentuje "Konarmię" Babla, jako naj-bliższą premierę wybrał "Trzy siostry" Czechowa. Uwspółcześnioną "Antygo-nę" Sofoklesa, przedstawi wkrótce teatr Uniwersytetu Łódzkiego "Stuł"; w planach — montaz ballad antywo-jennych Bułata Okudżawy. Wielkim powodzeniem cieszy się spektakl powodzeniem cieszy się spektakl "Szewców" Stanisława Ignacego Wit-"Szewców" Stanisława Ignacego Witkiewicza wrocławskiego "Kalambura"; teatr ten wystąpił obecnie z nową premierą dwóch jednoaktówek Piotra Załuskiego. Także inni wspópracownicy "Kalambura" są autorami tekstów i muzyki widowiska "Kram z piosenkami".

Poznański "Fafik" kończy próby "Balu w operze" J. Tuwima i przygotowuje spektaki utworów Brechta, pomyślany jako protest przeciwko

pomyślany jako protest przeciwko wojnie w Wietnamie. Jedna z naj-bardziej ambitnych scen studenckich — krakowski Teatr 38 przygoto-krakowski Teatr 38 przygoto-wuje "Męczeństwo i śmierć Marata".

taką usza Iredyńskiego i Jerzego Krzyszto- Premiera "Męczeństwa" zbiegnie się Jego 42 przedstawienia obejrzało 40 tys. widzów.

Bliskie scenom dramatycznym teatry poezji przygotowują obecnie szeatry poezji przygotowują obecnie sze-reg inscenizacji utworów poetyckich i prozy. Łódzki studencki teatr "Pró-by" prezentuje obecnie poezje Błoka w programie "Rosja to sfinks", a pra-cuje nad "Dwoma przygodami Le-muela Guliwera" według J. Broszkie-wicza i "Odysem w Berdyczowie" M. Rymkiewicza. Wspomniany już Stu!" przedstawi futurystów w spek-Rymkiewicza. Wspomniany już "Stuł" przedstawi futurystów w spek-taklu "Futurezje". Wrocławska "Pan-dora" zaprezentuje montaż poetycki współczesnych twórców. Poznański Ramzesik" wysowaćań "Ramzesik" wprowadził nową formę przedstawień poetyckich "wernisaże mówione" — łącząc poezję z muzyką

Połaczenie słowa, muzyki i plastyki jest formą, po którą coraz częściej się-gają studenckie teatry. Tego rodzaju ektakl zaprezentuje wkrótce Estra da Poezji Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Najbardziej znane są pod tym względem osiągnięcia gdań-skiej "Galerii", która eksperymentując na scenie dynamicznymi formami przestrzennymi zapowiada w najnowszym programie zupełną eliminację aktora na rzecz gry czystych środków wyrazu plastycznego i aktustycz-

mił Kobiela.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe "Nowiny Rzeszowskie" - RSW "Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ml. Zeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 - wewn. 198 Materiatów nie zamówionych redakcja nie zwraca.